Cena 7 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II. Katowice — Wrocław, 28 kwietnia 1946 r. Nr. 11 (22)

Zdzisław Hierowski

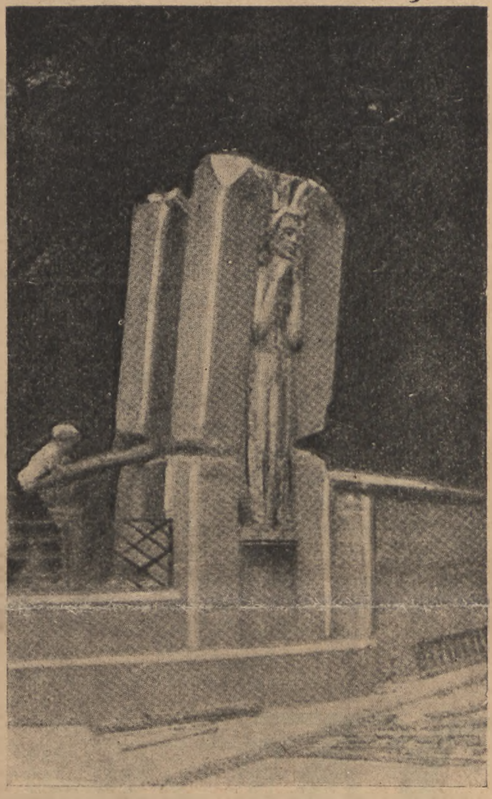
ŚLĄSKA INSUREKCJA

Wiek XIX., wiek odrodzenia narodowego Górnego Śląska ma w perspektywie historycznej swą charakterystyczną introdukcję i swój, niemniej wymowny finał. Poprzedza go bowiem na przestrzeni drugiej połowy XVIII. stulecia łańcuch krwawych buntów chłopskich, tłumionych z całą okrutną pasją przez landratów i wojska, a podsycanych wieściami ze świata o rewolucji francuskiej i silniej jeszcze wieściami z Polski o konstytucji 3-go Maja i Naczelniku w sukmanie. Zamyka się natomiast wiek ten zapoczątkowaną w r. 1901 działalnością polityczną Wojciecha Korfantego, którą w lat kilkanaście ukoronuje seria trzech powstań górnośląskich w latach 1919, 1920 i 1921.

W przebiegu obydwu tych ruchów zbrojnych dochodzą do głosu i występują na widownię historyczną te same elementy społeczne: polski lud tej ziemi walczący z pruską okupacją. Podczas gdy w pierwszym wypadku powstania i bunty są dziełem polskiego proletariatu wiejskiego, w drugim stanął już solidarnie do walki obok niego proletariat robotniczy i on przejął rolę czynnika decydującego.

Ale pomiędzy tymi dwoma zespołami faktów historycznych zachodzą zupełnie istotne różnice genetyczne, których uchwycenie pozwala dojrzeć ogrom przemian narodowych, jakie zaszły na Śląsku w okresie czasu, który je rozdziela. W XVIII. w. chwytali chłopi śląscy za cepy i kłonice przeciwko dworom i ich niemieckim właścicielom, podnieceni legendą o dobrym cesarzu, który dał chłopom prawa zwalniające od pańszczyzny, chytrze ukryte i niewykonane przez panów. Gdyby chodziło o przejawy narodowego uświadomienia chłopa śląskiego w tym okresie, szukać by ich chyba należało tylko w ucieczkach za polską granicę, gdzie położenie chłopa było mimo wszystko mniej ciężkie niż wówczas na Śląsku. W przeciwieństwie do tego walka Górnego Śląska w pierwszym dwudziestoleciu naszego wieku nie jest już walką o wolność osobistą, nie jest już tylko walką o prawa społeczne — jest walką o wolność narodową o polityczny fakt włączenia tych ziem w polski organizm państwowy.

Droga, którą przebył Śląsk od buntów chłopskich do powstań była trudna i na-



Rok 1940, Niemcy burzą pomniki powstańczej chwały. Oto moment zburzenia pomnika powstańców śląskich w Pszowie, pow. Rybnik. (Zdjęcie ze źródeł niemieckich).

jeżona przeciwnościami, tym większymi, że wywodzącymi się z koniecznych do przełamania oporów psychicznych. Utrata przez Polskę niepodległości zbiegła się z pierwszą wielką falą terroru germanizacyjnego popartego łańcuchem perfidnych nacisków, ingerujących we wszystkie dziedziny życia. Teoria o mówiących po polsku Prusakach zaczynała wydawać owoce. Wiosna Ludów zahamuje ten proces, ale przed pionierami odrodzenia narodowego staje zadanie trudne i skomplikowane. Oto Józef Lompa we wstępie do swoich „Obrazów dziejów Śląska" tak musi apelować do swoich rodaków: „Niektórzy z was zapomnieli nawet, jakiej matki ziemi są synami, jaka ich mowa a obyczaj; — niepomni na przeszłość i przodków swoich nawet Niemcami się mianują. Aby poznać, czym jesteście, dość spojrzyjcie na twarze wasze tak różne od niemieckich — przypatrzcie się suknom waszym, co je jeszcze wasi nosili, azali to są ubiory niemieckie? — zważcie obyczaj wasz przy ślubach, zaręczynach, pogrzebach i udztach, czyli je tak jak Niemcy sprawujecie? — posłuchajcie mowy waszej, czyli ona niemieckiej podobna? — Chcecie więc wiedzieć, co się przed laty na waszej ziemi działo, przeczytajcie to krótkie dziejów spisanie; a dowiecie się, jaka ziemia was rodzi, kto przed laty wami rządził, kto grunta wasze uprawiał, jakiego jesteście narodu członkami i jak wam się zwać godzi". (1849).

Szybki i wyraźny rozwój uświadomienia narodowego w drugiej połowie XIX w. nie miał odpowiednika w rozwoju świadomości politycznej. Długoletnia współpraca śląskich katolików z partią centrową zatruła dusze pruską lojalnością, pielęgnowaną czule przez duchowieństwo, i kazała im reagować ujemnie na wszelkie przejawy niezależnej myśli polskiej. Toteż wystąpienie polityczne reprezentanta tej myśli, Wojciecha Korfantego, rozpętało burzę. Obóz jego ochrzczono jako „narodowo - radykalny" a księża w czambuł potępili jego zwolenników. Ale było już za późno. Lawina ruszyła z miejsca. Zerwał się sojusz polski z niemieckim centrum, chłop i robotnik śląski zaczął się coraz liczniej opowiadać za tymi, który głosili prawdy o jego łączności z narodem polskim i wiązali losy Śląska z losami wyczekiwanej niepodległej Polski.

Powstania górnośląskie tylko na tle tych przemian i tylko jako dalszy ciąg tego procesu są zrozumiałe i tylko w tym kontekście historycznym winny być rozważane i oceniane.

W okresie, gdy mija dwudziestapiąta rocznica plebiscytu i trzeciego największego powstania na Górnym Śląsku, ci, którzy dzisiaj tak łatwo i gładko osądzają Ślązaków, muszą zdać sobie sprawę, że udział Polski, udział narodu w dziele odbudowy polskości na Śląsku był minimalny. Śląsk swoją drogę do Polski odbywał sam. Sam łamał przeciwności i sam stwarzał fakty historyczne o decydującym znaczeniu. Przez solidarność antygermańską i wspólność losu pewną pomoc niosła mu tylko w końcowym kilkudziesięcioletnim okresie Wielkopolska. Jeśli chodzi o resztę kraju, sprawy śląskie, trwające tu nieustannie zmaganie polsko - niemieckie, zachodzące tu procesy narodowe i rozwijające się problemy znalazły się niemal całkowicie poza zasięgiem polskiej myśli politycznej, nie były dla narodu sprawą bliską i żywo go obchodzącą. Powstania i plebiscyt to nie jakiś wystrzelający z nicości cud odrodzenia narodowego, to rezultat rzetelnej pracy narodowej kilku pokoleń śląskich, wynik działalności wyszłej z ludu garstki rodzimej inteligencji, która ludem tym potrafiła pokierować i porwać go za sobą.



Płyta na grobach powstańców na cmentarzu parafii św. Andrzeja w Zabrzu.

Perspektywa Odry

Polskie spojrzenie na Odrę i poza Odrę formowało się długie stulecia, pokonywało liczne przeszkody, zasłaniające widok. Raz wraz odwracaliśmy oko ku księgom naszych dziejów, gdzie zapisane są zmagania narodu polskiego i jego dawnych słowiańskich pobratymców od Zachodu o ziemie nad Odrą. Na przestrzeni wielu stuleci późniejszych graniczących z Polską wielką i z Polską uciemiężoną w długiej niewoli, znajdujemy już tylko jedną wojnę o Odrę. Wojną tą są trzy powstania śląskie. Wspominamy je na łamach tego numeru „Odry" z okazji 25-cio letniej rocznicy III powstania górnośląskiego.

III powstanie Ślązaków przeciwko Niemcom wybuchło w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku i oparło od razu swe dymiące skrzydła o rzekę Odrę. Już pierwsze depesze z placów bojów donoszą: „Powstańcy zajęli cały powiat rybnicki i wschodnią część raciborskiego, tak że stoją wzdłuż Odry. Poza linią demarkacyjną wszystkie mosty wyleciały w powietrze."

Później, kiedy powstanie rozwinęło się, górnicy rybniccy, katowiccy i tarnogórscy stanęli nad Odrą na dłuższych i bardziej północnych odcinkach. Komunikat sztabu z dnia 6 maja 1921 doniósł: „Niemcy ściągnąwszy z drugiej strony Odry znaczne siły, obwarowali i okopali Kędzierzyn jako przyczółek mostowy Koźla. Po krwawej walce zdobyli powstańcy Kędzierzyn." Ileż to skromnych mogił powstańczych zostało usypanych nad brzegiem tej rzeki. Cieśle dołowi, którzy dotąd stawiali stemple po kopalniach, wchodzili z podwiniętymi nogawkami w falę Odry, by wbijać tu pale pod mosty albo podnosić z dna karabin, upuszczony przez rannego towarzysza.

Braterstwo mieszkańca tych ziem z rzeką Odrą nie wynikło zatem tylko z faktu urodzenia i zamieszkiwania owych krain, wynikło ono z wiekopomnego i jedynego na przestrzeni ostatnich stuleci faktu walki o tę rzekę, z faktu objawienia się w walce tęsknoty za jej posiadaniem.

Te sprawy i fakty w perspektywie Odry muszą być zawsze dostrzegane. Dostrzegane muszą być mogiły powstańców śląskich nad brzegami Odry. Oglądany musi być czyn bohaterski powstańca śląskiego z różnych perspektyw historycznych.



Tu pod wsią Ławki w powiecie kozielskim w wąskiej przysypanej chrapięciem mogile spoczywa kilkudziesięciu powstańców śląskich.

Jeśli pierwsze i drugie powstanie nie przyniosło rezultatów, o które walczyło, jest to zarówno wynikiem ówczesnego położenia politycznego Polski i sił kształtujących politykę międzynarodową, jak i wynikiem tego, że polskość nie uświadomiła sobie jeszcze wówczas swej siły i jej zasięgu, że nie złamała wówczas jeszcze niemieckiego terroru. Bo pokonane i rozprzężone Niemcy były nieprzejednanie nieustępliwe i jednolite w obronie swego stanu posiadania na Śląsku. Generalną probą sił polskich na Górnym Śląsku stał się plebiscyt. Gdy rezultat tej próby usiłowano zniweczyć, zagrał Śląsk stawkę ostatnią. Gdy nie pozwolono rozstrzygać sprawiedliwie kartkom plebiscytowym, rozstrzygać musiały karabiny. W ten sposób Śląsk, którego tradycje wojenne urywają się gdzieś na polach Lignicy, wszedł w granice polskie z najmniej oczkiwanym przez naród dorobkiem żołnierskiej sławy.

A sławę tę ciężko trzeba było okupić. Pierwsze powstanie załamało się po tygodniu walk a jego żołnierze poszli na emigrację do Polski. Drugie trwało niewiele dłużej. Obydwa pociągnęły za sobą krwawe ofiary i zwiększenie nasilenia terroru. Gdy po raz trzeci ruszono do walki, naprzeciw źle uzbrojonych, nieumundurowanych, głodnych, pozbawionych dostatecznej liczby fachowych dowódców wojsk powstańczych stanęły dobrze wyposażone i zasilane z Rzeszy ludźmi i bronią pułki niemieckie, dowodzone przez doświadczonych oficerów sztabowych i generałów, wypróbowane w walkach, wspierane czynnie przez stacjonujące na Śląsku oddziały włoskie, jawnie tolerowane przez Anglików. Gdziekolwiek wyrąbał sobie powstaniec drogę bagnetem, zagradzały mu ją oddziały wojsk sojuszniczych, broniące „prawa i porządku". Polska oficjalnie pomocy nieść nie mogła a wyczerpana niedawno zakończoną pokojem ryskim wojną zdobyć się na nią nawet nie potrafiła. Piłsudski zapatrzony na wschodnie krańce swego „obwarzanka" sprawie śląskiej odmawiał wyraźnie nawet moralnego poparcia. A przytem jakże często przychodziło powstańcowi śląskiemu rozstrzygać własne, najbardziej wewnętrzne i osobiste konflikty. W tym boju nierzadko walczył syn przeciw ojcu, brat przeciw bratu, reprezentując z jednej strony polskość równie fanatyczną i ofiarną, jak ofiarną i fanatyczną była niemieckość ludzi, którzy się jej zaprzedali. Ale pomimo to poszli i zwyciężyli wołani słowami odezwy: „Los nasz jest w waszych rękach. Nie wstrzymają nas męczeńskie ofiary. Bez krwi przelewu, bez ofiar nie zdobywa się wolności. Do broni!" W kilku dniach zawładnęli całym terenem plebiscytowym, utrzymując stanowiska pomimo kilku włamań w końcowej ofensywie niemieckiej i ustępując dopiero miejsca oddziałom alianckim, które pasem neutralnym miały oddzielić walczące fronty. Pomimo likwidacji powstania przez czynniki międzynarodowe siła polskości, jaką ruch powstańczy wykazał, była czynnikiem, który dalej ważył na losach decyzji w Paryżu czy Genewie. Nierozsądnym głosem, popierającym niemieckie tezy podziału, przypominano tam raz po raz, że Śląsk czeka, że w każdej chwili może tam stanąć do nowej walki 100 000 uzbrojonych Polaków. I ten argument poparty zwycięskim przebiegiem trzeciego powstania pomagał, ostudzał proniemieckie zapały na krótką metę, patrzących dyplomatów angielskich i włoskich.

Wokół tego faktu musi się wytworzyć rzetelna i uczciwa tradycja historyczna, tak jak wytworzyła się ona wokół osoby Kościuszki, w odniesieniu do powstań 1830 i 1863 r., jak tworzy się na oczach naszych wokół rewolucji krakowskiej 1846 r. Zbyt bliska przestrzeń czasu dzieląca nas od tych faktów sprawiła, że tę tworzącą się tradycję powstań górnośląskich wykorzystywano do celów wewnętrzno-politycznych i związanych z nimi rozgrywek, wciągając w nie element powstańczy. Te sprawy trzeba odsunąć od faktu historycznego, którym są powstania. Los ich w pamięci narodowej niech kształtuje historia i pióro pisarza.

Roman Horoszkiewicz

W oczach nieprzyjaciela

I.

Jeśli chodzi o powstania górnośląskie, dla nas Polaków ważnym jest poznanie opinii niemieckiej o całym zagadnieniu górnośląskim, poznanie oceny polskich działań powstańczych, i co może najważniejsze, poznanie i zorientowanie się, z jakim przeciwnikiem mieliśmy wówczas do czynienia, i kto właściwie walczył o Górny Śląsk po stronie niemieckiej.

Chociażby więc prace polskie wystarczająco opisywały nam III powstanie, zawsze interesującym będzie poznanie, jak wyglądało ono od strony nieprzyjaciela. Wobec zaś braków w polskiej literaturze, braków, które zdaje mi się, niemożliwe już będą do usunięcia, z powodu zniszczenia polskich źródeł do historii plebiscytu i powstań, koniecznością się staje, krytyczne poznanie poważniejszych prac niemieckich.

Najpoważniejszą z prac takich jest praca gen. Karola Hoefera „Oberschlesien in der Aufstandszeit" (Berlin 1938 r.). Z innych warto rozpatrzeć pamiętnikarskie opracowania: Manfreda Killingera „Kampf um Oberschlesien" (Lipsk 1934 r.) i Artura Mohaupta: „Kampf um Annaberg" (Berlin 1936 r.).

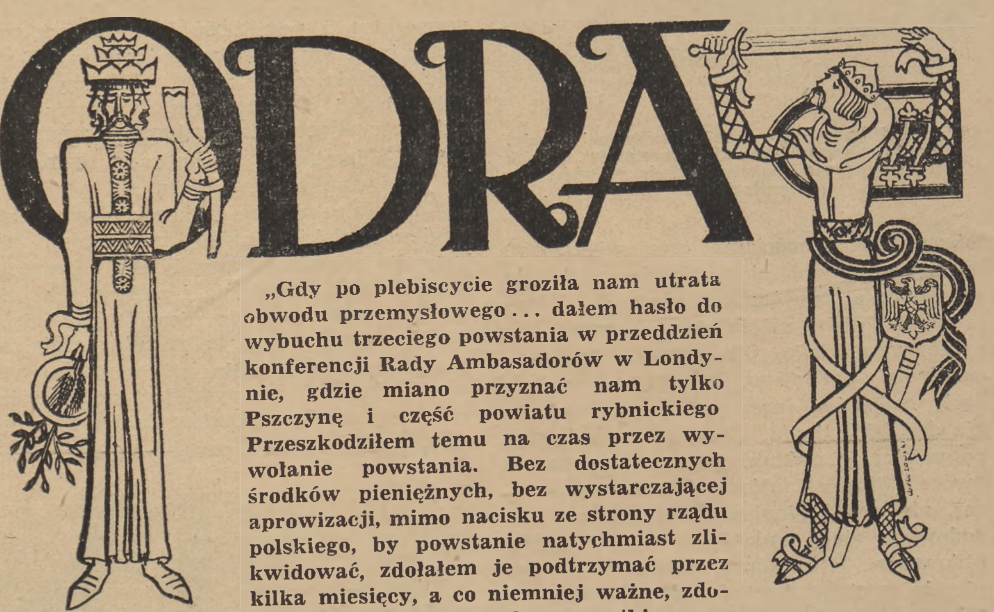
Autorami ich są przecież: generał, naczelny wódz po stronie niemieckiej, kapitan marynarki, dowódca jednego z najgłośniejszych oddziałów niemieckich t. zw. „kompanii Koppe" i szeregowiec (Fritz Mohrenhaupt), ochotnik w jednym z batalionów, które odebrały nam Górę Św. Anny.

Praca gen. Hoefera jest bardzo rzeczowa, spokojnie i obszernie omawia zagadnienie. Nie odnosi się też do przeciwnika lekceważąco i pogardliwie. Nigdzie na przykład nie obraża powstańców, nie wyzywa ich ordynarnie i używa stale nazwy „insurgenci" lub „powstańcy", nie cofając się także przed uważaniem ich wyraźnie za Polaków.

Z obu pamiętnikarzy, M. Killinger pisze wprost przeciwnie, Mohaupt za to zadziwia brakiem grubiańskości.

Nie zajmuje się on też (Mohaupt) udowadnianiem praw Niemiec do Śląska i nie traktuje czytelnika historiozoficznymi wywodami. Czynią to zaś obficie dwaj inni autorzy. Dla nich Śląsk, to zawsze prastara ziemia niemiecka, część integralna „Reichu". Podają niemieckie, ogólnie znane i okrzyczane „prawdy" o Śląsku, różniące się tylko więcej lub mniej obszernym opisywaniem ich. Historia u tych pisarzy jest na takim poziomie, że np. Hoefer twierdzi, iż Polska zdobyła Śląsk w roku 999 i utraciła go w r. 1163. Tenże generał opisuje też język mieszkańców Śląska, z których większość według niego mówi po niemiecku, a mniejszość po polsku i „wasserpolnisch". Według wszystkich trzech zresztą na Śląsku żyją głównie Niemcy, a obok nich Ślązacy, osobny szczep, słowiańskiego wprawdzie pochodzenia, ale przynależny od stuleci do Niemiec i przepojony kulturą niemiecką. Nigdy lud górnośląski nie wystąpiłby przeciw „swojej" niemieckiej ojczyźnie, gdyby nie agitacja i... Korfanty. Korfanty jest czerwoną płachtą dla nich wszystkich i tylko w tonie różni się, starający się być spokojnym Hoefer, od pieniącego się ze wściekłości, Killingera. Obaj jednak nie zastanawiają się chociażby nad tym, że dziwna jest ta „niemczyzna" Ślązaków, i nie musiała być ona ani zbyt silna, ani zbyt głęboka, jeżeli kilka lat agitacji i to agitacji „prywatnej", nie prowadzonej przez państwo samoistne, doprowadziło do odpadnięcia od rzeczywiście bogatej i potężnej Rzeszy ludu tak z nią, jak twierdzą, związanego. Generał Hoefer przenosi jeszcze całą sprawę powstania na płaszczyznę konfliktu materialnego, gospodarczego, twierdząc, że spowodowane ono było nie względami narodowymi, ale zawiścią ubogich robotników do bogatych właścicieli kopalń i wyższych kulturalnie urzędników itp.

I Hoefer i Killinger twierdzą zgodnie że głównym motorem powstania była Francja. Ona ośmieliła Polaków, ona dała im broń i nawet francuscy oficerowie (według nich) pracowali w sztabach powstańczych i dowodzili oddziałami. Natomiast to, że Anglicy pomagali Niemcom, uważają wszyscy za rzecz zupełnie naturalną. Mohaupt naprzykład z zadowoleniem opisuje scenę, jak oficer angielski 15 maja przywiózł im w samochodzie c. k. m. z amunicją.



„Gdy po plebiscycie groziła nam utrata obwodu przemysłowego... dałem hasło do wybuchu trzeciego powstania w przeddzień konferencji Rady Ambasadorów w Londynie, gdzie miano przyznać nam tylko Pszczynę i część powiatu rybnickiego Przeszkodziłem temu na czas przez wywołanie powstania. Bez dostatecznych środków pieniężnych, bez wystarczającej aprowizacji, mimo nacisku ze strony rządu polskiego, by powstanie natychmiast zlikwidować, zdołałem je podtrzymać przez kilka miesięcy, a co niemniej ważne, zdołałem utrzymać w ruchu wszystkie warsztaty pracy i mimo toczących się walk zapewnić ludności pracę i chleb. Gdy nieudolni wojskowi przywódcy powstania przegrali bitwę pod Górą Św. Anny i linie powstania się załamywały, gdy dobrze zorganizowani Niemcy pod wodzą doświadczonych generałów tak na szeregi powstańców napierali, że w 48 godzinach mogli by byli stanąć w Mysłowicach, ja robotą dyplomatyczną wobec Komisji Międzysojuszniczej doprowadziłem do zawieszenia broni i rozejmu i uratowałem nie tylko powstańców ale i całą sytuację. Fałszerze historii dziś chcą twierdzić, że przez to zaprzepaściłem Opole i Odrę.

Gdyśmy tu walczyli o każdą piędź ziemi polskiej, KTÓRA WIĘCEJ JEST WARTA NIŻ CAŁE POWIATY NA RUSI, odpowiedzialni sternicy naszego państwa szukali szczęścia i sławy pod Kijowem, by później bronić Polski przed bolszewikami aż pod bramami Warszawy.

W takich warunkach zdobywaliśmy Górny Śląsk dla Polski"

(Wojciech Korfanty: Odezwa do ludu śląskiego. Katowice 1927).

II.

Czytając ciągle w książkach omawianych o „śląskości" i „tutejszości" powstania, natrafiamy jednak też stale na dowody obcego pochodzenia członków S. S. (Selbstschutz) i całych oddziałów. Bohater Mohaupta, Fritz Mohrenhaupt, pochodzi z Nysy, a więc z terenu pozaplebiscytowego, Killinger w ogóle jest obcym Niemcem, korpus „Oberland", który zdobył Św. Annę — zorganizowany został w Bawarii, osobny oddział w nim stanowią Tyrolczycy. Na szefa sztabu dla gen. Hoefera (o czym kilkakrotnie i szeroko on opowiada), proponowany był jakiś wybitny spec z Tyrolu, który zresztą nie przybył. Mowa jest też ciągle o ochotnikach z Wirtembergii, Berlina, Hamburga i ubolewa się nad małą ich ilością z Saksonii, „zarażonej" wówczas czerwoną demokracją.

Stosunek ludności miejscowej do oddziałów niemieckich zasadniczo nie jest omawiany. Killinger tylko kilkakrotnie pisze o radosnym powitaniu, mogło ono kompanię spotykać zresztą na prawdę w dworach i zamkach. Kilkakrotnie jednak żali się na nieprzyjazne i „zdradzieckie" ustosunkowanie się ludności. Zlekka porusza te sprawy i gen. Hoefer, którego jedno oświadczenie i z innych względów warto przytoczyć: — „Ze wszystkich stron, także z nacjonalnych usilnie oświadczano, że koniecznym jest „Freikorps" trzymać w silnej dyscyplinie, aby uniknąć nieprzyjacielskiej postawy śląskich robotników, a nawet pewnych mieszczańskich kół przeciw S. S. Jako jedyny cel ich czynności ostro należy podkreślać utrzymanie Górnego Śląska... (inaczej) — śląscy robotnicy (arbeiterschaft) z trwogi przed reakcyjnymi zakusami mogą sprawić trudności S. S." —

Gen. Hoefer podaje też cyfry: S. S. miał liczyć około 30.000 ludzi, powstańcy około 60.000 (Polscy autorzy miarodajni obliczają siły nasze na około 20.000 początkowo, potem w czerwcu na 30—40.000 najwyżej). Tenże generał, dziwne to wobec jego starań utrzymania się w bezstronności, podaje nawet wyraźnie, że przed powstaniem na Górny Śląsk przybyło tajnie (przy pomocy Francuzów), 8 pułków piechoty W. P., 3 bataliony celne i pułk kawalerii. W sztabie powstańczym miało pracować 50 oficerów, w tej liczbie wyżsi oficerowie francuscy, technicznymi pracami kierowało 30 oficerów — inżynierów W. P.

Killinger nie bawiąc się w cyfry, ciągle pisze o „masach", z którymi przychodzi walczyć Niemcom, o ich atakach, w których 100 do 200 tychże, słabo uzbrojonych, rozbija po kilka tysięcy „bandytów", zaopatrzonych obficie w broń i wspomaganych przez artylerię, pociągi i samochody pancerne.

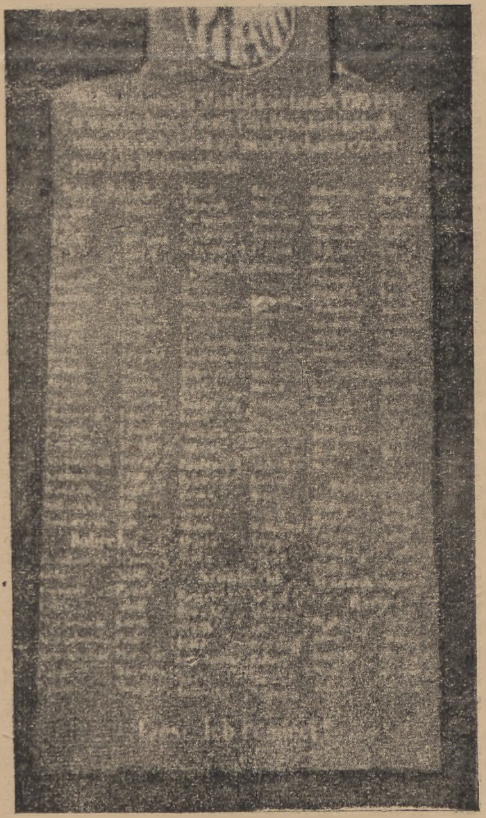
Bardzo ważnym dla charakterystyki oddziałów niemieckich, przybyłych na Górny Śląsk jest opinia o nich gen. Hoefera. Rozpatrując organizację S. S. podaje on, że składało się nań około 60 oddziałów, które dzieli na trzy kategorie:

I kategoria: to oddziały tworzone na miejscu, jak pisze „spod ziemi wyszły". Były one liczbowo najsilniejsze, dowodziło nimi miejscowe ziemiaństwo („landadel") i byli oficerowie miejscowi (a więc nauczyciele, urzędnicy itp.). Tych oddziałów Hoefer nie ceni wysoko. Dzieli je jeszcze na: oddziały z terenów objętych powstaniem i oddziały ze Śląska z poza terenów powstańczych. Te z terenów powstańczych uważa za lepsze.



Odpoczynek oddziałów powstańczych w Bierawie (7. V. 1921). (Obraz powstańca-samouka Juliusza Marcisza)

II kategoria: to „Freikorpsy", których ośrodki powstały w krajach bałtyckich, Westfalii, Monachium czy Berlinie. Po rozwiązaniu ich, po wielkiej wojnie, osiedlały się one jako spółdzielnie, spółki rolnicze, robotnicze, rzemieślnicze itp. w różnych miejscowościach, zawsze gotowe do wystąpienia. Z natury rzeczy nie były one silne liczbowo, ale za to doskonałe wojskowo, przez swoje wyszkolenie i doświadczenie bojowe, zwartość i duch korporacyjny, który je ożywiał. Miały one doskonałych dowódców. Typowym takim oddziałem był pułk „Oberland", zorganizowany w Bawarii do walki z komunistami. Na terenie Śląska występowały jeszcze: organizacje „Rosbach" na północnym odcinku, „Erhardt", o którym właśnie pisze Killinger, na południowym i inne.



Polegli w odzyskanej dopiero rok temu części powiatu bytomskiego.

III kategoria: należą do niej organizacje takie jak „Orgesch" („Organisation Escherich"), różne „Jungdeutschegesellen" i korporacje studenckie. Były one bardzo bojowo nastawione i dobrze zorganizowane. **Wiele kompanii u nich składało się z samych oficerów.**

III.

Pisząc dalej o swoich oddziałach gen Hoefer tak ciekawie charakteryzuje Bawarów, biorących udział w zwalczaniu powstania: — „Na wielu Górnoślązaków podziałało przybycie Bawarów, wśród których był i oddział Tyrolczyków, jak wyzwolenie z męczących trwóg, na wielu jednak podziałali oni postrachowo („als Bayernschreck"). — Bardzo twarde, bezwzględne i początkowo może nie zawsze wolne od stronniczości wystąpienia tworzyły im nieprzyjaciół".

Gen. Hoefer w ogóle pisze bardzo otwarcie, podaje np., że z różnych stron dochodziły go skargi na rozboje i gwałty, popełniane przez jego oddziały. Usprawiedliwia je twierdzeniem, że śledztwa nic nie wykrywały, oddziały same (naturalnie!) wszystkiemu zaprzeczały. No, a w ogóle pisze, że przecież była to wojna otwarta, życie każdego było w niebezpieczeństwie, do tego były to czasy po wielkiej przegranej wojnie, w jakich zawsze panuje zdziczenie i rozluźnienie więzów społecznych i etycznych.

Typowym też oddziałem wojsk gen. Hoefera była kompania „Koppe", której dowódcą był kpt. mar. Manfred von Killinger, autor omawianego właśnie pamiętnika. I cały ton tej książki i poszczególne ustępy są bardzo charakterystyczne. Taki np. opis powstania kompanii: Tworzy ją grupka narodowych studentów we Wrocławiu, przyłącza się do niej druga grupa przybyła z nad Renu i około 9 maja już są oni nad Odrą i przyłączają się do batalionu Bethuzy-Huc, który składał się głównie z ludzi z organiazcji „Erhardt". Duch kompanii „Koppe" to typowy duch pruskiego militaryzmu w najlepszym wydaniu, duch junkrów pomorskich. Nazwiska, które Killinger obficie przytacza, to nazwiska arystokracji niemieckiej. Hr. Bethuzy-Huc, hr. Magnis, baronowie: Strachwitz, Schilke, Jagow, Zedlitz, Mecklenburg, Eichen, Studnitz (zginął) itd. — a nawet książę Franciszek Józef von Schaumburg-Lippe.

Książka zresztą została wydana w 1934 r. Silnie więc też jest zabarwiona hitleryzmem. Nie można jednak powiedzieć, że jest to w niej dodatkiem. Owszem, stwierdza ona tylko, jaki duch panował już wówczas w oddziałach S. S.

Mniej te sprawy uwydatnia Mohaupt (w pamiętniku Fritza Mohrenhaupta), ochotnika w niemniej od „Oberlandu" sławnym batalionie „Heinz", w którym służył głośny Schlageter. Mniej junkierski z ducha, może ten batalion być za to określonym jako prototyp oddziału młodzieży hitlerowskiej.

Gen. Hoefer kilkakrotnie podkreśla wartość bojową pwstańców i dodatnie ocenia ich dowództwo w poszczególnych walkach.

Zdumiewa go np. szybkie otrząśnięcie się dowództwa powstańczego na tym odcinku z wrażenia klęski pod Górą Św. Anny i stawienia zaraz zaciętego oporu. Wdając się w taktyczne rozważania i powołując się na Clausewitza, i opisując manewr niemiecki zakończony zdobyciem Św. Anny a zagrażający następnie otoczeniem grupy powstańców w okolicy Kędzierzyna, podkreśla zręczną i słuszną taktycznie odpowiedź dowództwa powstańczego (ataki na oba skrzydła niemieckie). Kilkakrotnie też stwierdza u dowództwa powstańczego umiejętność odskoczenia od nieprzyjaciela i zacięte kontrataki. Pochwały Hoefera w znacznej części należą się dowództwu I-ej Dywizji Powstańczej. Szczegółowa analiza działań i zestawienie oddziałów, wykazałoby, które oddziały polskie i gdzie ścierały się z oddziałami niemieckimi i z którymi

Znajdujemy też w dziale gen. Hoefera pewną rewelację. Otóż stwierdza on, że Góra Św. Anny była broniona zanadto słabymi siłami i dosłownie pisze, że naczelne dowództwo powstańcze zaskoczone było „nieudolnością" obrony. Brak opracowań owej bitwy z polskiej strony, nie pozwala nam wyjaśnić sprawy.

Sytuacja gen. Hoefera, trzeba przyznać, nie była lekką. Z jednej strony ówczesny rząd Republiki niemieckiej nie mógł narazić się na wojnę z Francją i Polską, i bał się puczów monarchistycznie usposobionych organizacyj („Freikorpsów"), z drugiej strony podwładne oddziały S. S., zdziczałe w wielkiej wojnie, rwały się do walki i po haśle „Zdobywamy Św. Annę"! — przyszło kłopotliwe hasło: — „Szturm, aż do Gliwic!" Kłopotliwe, gdyż narażające na niewątpliwy konflikt z wojskami aliantów.

W podobnej sytuacji był i Korfanty Obaj też przeciwnicy, zwracali się do komisji alianckiej z ciągłymi, wzajemnymi skargami, ogłaszali, że już się więcej bić nie będą, — tylko . . . ich oddziały są zmuszone do walk prowokacjami wzajemnymi. Gen. Hoefer jako dobry teoretyk taktyczny, podaje nawet naukowe uzasadnienie swych działań: — jest to konieczna ofensywna obrona. Nasłuchaliśmy się potem tego rodzaju clausewitzowskich formuł dosyć z ust Hitlera.)

IV.

Omówienie książek, które przedsięwzięliśmy, miało nam dać kilka wyjaśnień i oświetlić kilka zagadnień, związanych z III Powstaniem r. 1921. Pod pewnymi względami wyjaśnienia te też i oświetlenia otrzymaliśmy.

Nastawienie Niemców do historii Śląska (i zresztą całej Polski) jest ogólnie znane. Wypracowane ono zostało w niemieckich pracowniach naukowych, dobre kilkadziesiąt lat temu. Przez podręczniki szkolne, przez popularne wydawnictwa, a ostatnio przez kolosalną propagandę przesiąknęło ono tak umysłowość niemiecką, że długie lata zapewne miną, nim zło sprawione da się odrobić i kultura niemiecka z fałszów historycznych będzie mogła być oczyszczona. Przyczynić się jednak do tego musi i polska nauka, gruntownymi opracowaniami polskich spraw. W książkach omawianych widzimy dokładnie, jak na życie i czynności ludzkie działają wskazania i hasła oparte na nauce. I gen. Hoefer i oficer marynarki von Killinger i student-ochotnik Mohrenhaupt, wierzą szczerze w niemieckość Górnego Śląska, oburzeni są na zakusy obcych i przypuszczam, że trudno było by im wytłumaczyć niesłuszność ich zasadniczych dogmatów.

Dla nas, jeżeli chodzi o dalsze zagadnienia, jasno tu występuje różnica między oddziałami niemieckimi a polskimi. W oddziałach S. S. górują zawodowi żołnierze, zwołani z całych Niemiec, przytłaczają oni tych nielicznych Niemców z Górnego Śląska, którzy stanęli w ich szeregach. Dowodzenie oddziałami niemieckimi jest ogromnie ułatwione, przez wielką ilość oficerów na wszystkich stanowiskach, od szeregowca poczynając w górę. Każdy kto miał z wojną do czynienia zrozumie to odrazu. Górnik oderwany wczoraj od młota, rolnik, czy nawet inteligent — student polski, staje w bojowej służbie polowej przed szeregiem obcych mu i trudnych dlań zagadnień, które członek S. S., który podoficer czy oficer, ma w jednym palcu. A chodzi tu przecież o życie. Gdy zaś chodzi o zwycięstwo, to jakież normalne szanse mają znowu ci sami, jako dowódcy plutonów i kompanii, — bo przecież Polaków ze Śląska, byłych podoficerów niemieckich za mało było, aby obsadzić wszystkie te stanowiska, przy 30-to tysięcznej armii, przeciw kapitanom i majorom niemieckim, dowodzącym również plutonami i kompaniami po stronie nieprzyjacielskiej. A młodzi oficerowie W. P., pracujący jako doradcy taktyczni przy podoficerach, sztygarach itp. dowódcach batalionów i pułków powstańczych, przeciwstawiać muszą swoją porucznikowską, a najwyżej kapitańską wiedzę, pułkownikom sztabu generalnego i generałom niemieckim.

Korpus przecież oficerski reprezentowany był w III powstaniu przez dwóch podpułkowników (trzeci ppłk. zmienił w czerwcu jednego z kolegów) — czterech majorów (i to bodajże wszyscy przybyli w czerwcu, a więc w drugim miesiącu powstania), około 80 kapitanów, poruczników i podchorążych, których cyfra dopiero w czerwcu wzrosła do jakichś 300 najwyżej.

Co do uzbrojenia i amunicji, to zdaje mi się, że żadna armia walcząca nie miała ich nigdy za dużo. S. S. miało ich dosyć,


POWSTANIEC

Pismo uchodźców górnośląskich

Do Braci Górnoślązaków.

Faksimile pierwszego numeru „Powstańca".

Podobizna pierwszego numeru „Powstańca", zrazu pisma uchodźców górnośląskich", potem organu powstańczego, wreszcie tygodnika Związku Powstańców Śląskich, wychodzącego aż po rok 1939.

po natężeniu ich ognia sądząc. U nas za to na prawdę były kompanie i bataliony, które broń otrzymywały dopiero od zmienionych przez siebie oddziałów.

Ale gdy chodzi o rzecz najważniejszą, to gdy autorzy niemieccy pisząc o bojach z powstańcami pisać muszą ciągle o oddziałach z głębi Niemiec sprowadzonych i podawać nazwiska dowódców, w najlepszym razie związanych ze Śląskiem chwilowo i przypadkowo, to Polacy mają w swych szeregach właśnie synów tej śląskiej ziemi, a o dowódcach wszystkich można dokładnie powiedzieć, gdzie się który na Śląsku urodził, z rodziny od wieków polskiej.

Ta niezaprzeczona polskość i ludowość III powstania przebija przede wszystkim z prac omawianych, nawet wbrew woli autorów.

I warto zapoznać się z tymi pracami i zobaczyć, jak wyglądaliśmy w III powstaniu w „oczach nieprzyjaciela".



Niemcy kapitulują wobec powstańców śląskich pod Górą św. Anny. (Obraz Jerzego Kossaka).

Stanisław Lem

Hauptsturmführer Koestnitz

Kazimierz przechylił się w tył, aż oparł głowę o ciemniejącą, chłodną ścianę. Niewidzące oczy skierował przez wąskie okienko strychowe na rozkołysane drzewa ogrodu i długą chwilę milczał.

— Wie pan... — zaczął — w czasie mojej „pracy" w ostatnim roku poznałem dużo ciekawych ludzi... ale takiego typa, jak komendant obozu w Gross Esau — myślę — nie było, ani nie będzie. To unikat. Bydlę, ale bydlę potężne. Kolosalne. I do tego chłop inteligentny, wykształcony, hoho, jakie on kawały urządzał...

Urwał, poprawił się na łóżku, aż zatrzeszczał nabity słomą siennik i ciągnął dalej:

— Wpadłem całkiem niechcący — nawet nie za swoje winy... kiedyś panu opowiem. Ale teraz o czym innym. Więc dostałem się do tego obozu. Już miałem „nosa", niedługo zorientowałem się, co i jak. Towarzysze opowiedzieli mi, że komendant wzywa każdego ciekawszego „nowicjusza" do siebie, aby go w swoisty sposób wyżyłować. Myślałem, że może nie jestem taką nieprzeciętną jednostką. Pracowało się ciężko, bicia było sporo, wszy, brud, wszystko programowo: Arbeit macht frei... durch den Tod. Ale to nie ciekawe. Pewnego dnia po apelu przychodzi esesowiec Groehlmann i powiada, że mam iść. Poszedłem. Idziemy, idziemy — a musi pan wiedzieć, że prócz swego baraku, drogi do pracy i z powrotem wogóle nie znałem obozu — aż podchodzimy do żywopłotu, mijamy go przez małą furtkę i — raj się otworzył. Cudowny sad, niesłychanie kunsztownie i ze smakiem sadzony, wypielęgnowany, a w pełnej kwiatów zieleni — nowoczesny, biały domek. Willa komendanta. Wprowadzili mnie do pokoju — narody, klękajcie. Gdybym był w Warszawie, i dostał się do takiego pokoju, zrobiłoby to na mnie nie małe wrażenie — a w mojej sytuacji: już zlekka zdziczały, cuchnący, pokryty krwią własną i rozgniecionych insektów — brudny, w pasiastej pidżamie...

Dziwne tu jednak były zwyczaje, bo esesowiec zostawił mnie samego i wyszedł. Pusto — rozglądam się: całe umeblowanie — czarny heban, ale wszystko takie, jakby kto z trumien meble zrobił. Masywne, olbrzymie, czarno politurowane kloce: biurko, szafy, wspaniała biblioteka — wszystkie książki zielono oprawne taki sam plusz na biurku — tylko te dwa kolory: czarny i zielony. Stałem chwilę — patrzę w okno: może jakoś nawiać? Szalona myśl. Ledwiem się ruszył z miejsca — słyszę śmiech. Wszedł komendant, który stał w szafie — tj. właściwie nie była to żadna szafa, tylko wypukłe drzwi, imitujące doskonale szafę.

— Tak, tak, odzywa się — tak się kończą pieśni. No i cóż, brudasie, co mi pan powie o głębszym sensie życia?

Usiadł wygodnie, zapalił papierosa i powiada:

— No, więc poco człowiek żyje? Musi pan wiedzieć, że zadałem to pytanie już kilkaset razy, ale dotąd nikt mi na nie zadowalająco nie odpowiedział. Obietnica i nagroda zawsze taka sama: kto mnie swoją odpowiedzią zadowoli, tego pożegnam natychmiast. Dostanie swoje ubranie i bilet do domu.

Dziwny to był Niemiec. Kiedy mówił, patrzałem na niego i widziałem, że on to wszystko całkiem serio myśli. To się czuło. I to, że mówił per pan — kiedy wszyscy od towarzysza na pryczy przez capo, aż do esesowców, straży tykali nas — było bardzo dziwne. Siedząc na fotelu, zdawał się w nim rozpływać: głowa zupełnie łysa, jakby rozdwojona na czubku, bo miał zaklęśniętą, siodłowatą potylicę. Twarz szeroka — ogromna, czerwona, a oczy w woreczkach powiek, takich mokroczerwonych, prawie, jak szparki. Nie patrzał też w oczy — chyba bardzo rzadko. Nos rozdwojony, jak kartofel, gęba na pozór obleśna, tak pan pewno z opisu sądzi: taki nalany krwią, otyły olbrzym z ryżymi, białymi rzęsami i brwiami. Otóż nie. Było w nim coś, co — dziś nie umiem tego określić, co go czyniło niemal sympatycznym, tak jakoś to się samo w człowieku budziło — nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu, ani ta głowa błyszcząca, łysa kula z garbami, ani nos, ani obrzękłe oczy nie raziły. Może to głos — cudowny miał głos, rzadko taki można słyszeć: po prostu mówiący tenor. Musi pan wiedzieć, że taka normalna, obozowa apatia jeszcze mnie wtedy nie ogarnęła — byłem przecież raptem paręnaście dni — więc chociaż czułem że to absurdalna propozycja — mimo woli drgnąłem. Powtarzam: nie wierzyłem, ale wiedziałem, czułem to, że on mówi poważnie. Widocznie musiałem zdradzić swoje podniecenie jakimś ruchem, bo ten łajdak (Kazimierz uśmiechnął się niemal czule) ucieszył się.

— Widzę, że będę miał z pana pociechę, powiada. Miałem tu już jednego filozofa, i wyobraź pan sobie: przekonałem go o całej słabości jego hipotez. Hahaha! wybuchnął nagle ogromnym śmiechem. Wielka masa ciała w zielonym mundurze drgała i trzęsła się.

— Wytłukłem z niego cały idealizm — ryczał, zaśmiewając się. Wtem spoważniał — tak nagle, że to było aż dziwne.

— No? czy będzie pan mówił już, czy trzeba może czasu do namysłu? Albo wie pan co? — zatrzymał się na chwilę. Patrzał na trzymaną kartkę papieru, pokrytą drukiem maszynowym.

— Hm.. pan ma ukończone studia wyższe.. dwa fakultety nawet: filozofia i prawo — to chwalebne... kiwał głową. Mówił zawsze tak, że nie wiedziało się, czy kpi, czy rozmawia serio. Zresztą, zdaje mi się, że on sam nie wiedział. Taki był właśnie: podwójny. Popatrzył na mnie — słupiałem coraz bardziej. Ten ton — to otoczenie — zdawało mi się, że śnię, a on i tym się bawił.

— Nie proszę pana siadać, powiedział, bo byłby tylko kłopot z odwszawianiem... prawda? Jeżeli rozmowa będzie ciekawa, będzie pan mógł drugim razem usiąść — o ile będzie drugi raz —

Zakończenie to znowu go rozśmieszyło. Ale zaraz spoważniał i nie patrząc na mnie, mówił powoli, spokojnie, jakby do siebie:

— Najwspanialsza rzecz na świecie, to życie... często myślę, że gdyby było komu za nie dziękować, robiłbym to wiele razy dziennie... także i za to, że można czuć, tak, jak ja w tej chwili właśnie. Ale życie musi się krzepić jakimś kosztem — po prostu pochłania inne. A wszystko zależy od formy. Są tacy nieskończeni głupcy, którzy myślą, że istnieje jakieś dobro i zło, a może nawet granica między nimi... Potem, są tacy głupcy, którzy zamiast rozkoszować się życiem, odmawiają sobie wszystkiego w imię tak zwanych ideałów — to są flaszki kolorowej wody z nalepkami... Dalej, inni, nieco mądrzejsi myślą, że najwspanialszą rzeczą jest zniszczyć trochę życia. Oczywiście, nie swojego — wykrzywił się z uśmiechu. — Ale to wszystko głupcy. Jak można zabić człowieka? skrzywił się ku mnie nagłą płaczliwością — przecie zabijając go, tracę nad nim wszelką władzę — nie mogę już nic, jestem bezsilny... — a to jest klęska — burknął ponuro. Dlatego każdy wypadek śmierci w obozie martwi mnie, głęboko mnie martwi. Śmierć — to jest ucieczka przed żywymi. Cóż za bezczelność! — Ciekawe jest, dodał, że głupi ludzie tak bardzo się śmierci boją... no, ale to na szczęście jedyny ratunek. Bo ja umiem życie obrzydzić... i gdyby nie było ono dla was takie słodkie, to byście się wzajem powywieszali, a tak — robi się różne eksperymenty — różne próby — przeciągał sylaby: Męczyło się tędy, i owędy, rżnęło, paliło, na rusztach żelaznych i na belkach sposobem indyjskim, i te buty hiszpańskie, i ołów, deski ze śrubą, i japoński tusz, i beczki do zamrażania zimą — i co pan tylko nie chce. Ale to wszystko — prymityw... Wierz mi pan, że nie robiłem tego z sadyzmu — przeciwnie — ja nie jestem sadystą — ale z ciekawości. Myślałem. co też może stać się z człowieka przez takie męki i tortury? Może się jakiś święty zrodzi? może cudotwórca? nie, nie myśl pan, że ja szydzę — dodał zaraz — po prostu nie wiedziałem. Ot, próbowało się. Co z człowieka wstanie w takiej chwili? gdzie ten duch siedzi? czy on już taki jest z kiszkami zrośnięty, związany, że jak te kiszki z lekka wypuścić, nakręcić na kij, i ciągnąć, to już człowiek nie może o panu Bogu myśleć? a gdzież się podziewają te wspaniałe zabawki z naszego kalejdoskopu — mózgu? byłem tego ciekaw, no i tak się doświadczenia robi. Ale to na nic — skrzywił się niechętnie — to wszystko na nic. Im który z panów był inteligentniejszy: filozof, poeta, malarz, tym prędzej przestawał być owym duchem wspaniałym. Kosteczka ta i tamta pękła, czy jakiś czuły narząd się przycisnęło — i koniec swobód ducha. A gdzież jest wtedy nieskończoność, w mózgu odbita? gdzie ideały? eee... kiwał palcem, jak się grozi małemu dziecku — nie podoba mi się to...

— Ciekawe...? — dziwiła się ta bryła na fotelu — ciekawe: odrzyna się malumaluchny kawałek ciała, nie większy od pięści, a człowiek tak baranieje, jakby go przepołowić...

— A więc ja wymyśliłem taką inowację: panom myślącym zadaję pytanie, na które trzeba odpowiedzieć, rozwiązać je. W razie wyniku negatywnego, — cała przykrość po pańskiej stronie. Będę się starał zrobić panu wszystko, co ostatnio wymyśliłem, nie zabijając wszakże. Spytasz pan może, czemu i za co? Ach, mój Boże... powiedziałem — że nie jestem sadystą... jestem tylko najbardziej ciekawym człowiekiem na świecie. Jakże piękną jest rzeczą mieć władzę, cudowną, nieograniczoną władzę nad ludźmi...

— No proszę, po co się żyje?

— Nie, dodał, pan nie chwyci tego bibularza, by nim we mnie cisnąć, ani nie rzucisz mi się do gardła — a to przez ten oto pistolet, który trzymam w ręce — ale będziesz się pan starał odpowiedzieć, zadowolić mnie... och, jakże się każdy z was stara, jak się sili — a ja, jak wyzywam waszego Pana Boga, żeby mi jakoś pomógł (i wam, zresztą) — żeby mi pokazał choć kraj, krajuszek jakiejś inności — bo nie chodzi przecież o rozmiażdżone kości, czy zielone flaczki, ale o to, żeby wycisnąć z człowieka jego treść ostateczną. Inkwizycja tego nie zrobiła — przerwał na chwilę, bębniąc palcami w stół, i: ani te ciemne, płaskie mózgi ze szkoły w Ober hausen — to wszystko, to są biedni sadyści. Ukąsi kawałek mięska, popije krwią — syty... Co za święta prostota... Mój głód jest znacznie większy. Nie, — cóż pan tak patrzy — nie jestem też diabłem, ani też szatanem — — nie jestem tylko głupi, to wszystko — na nieszczęście dla niektórych ludzi. Gdybym był głupi, zadawalałbym się małym. Ale ja małego nie chcę. Pamiętam, że człowiek umarły — to człowiek, który mi uciekł. Jest to z jego strony bezczelność i wyzwanie, a ja uznaję odpowiedzialność zbiorową. No, akrobato, ot kulka na strumieniu — strzelaj pan. Po co się żyje?

Byłem spokojny i zimny, aż do dna. Oto okaz! myślałem. Zaraz nadejdzie jakaś niesłychana, niewypowiedziana tortura. Może pójść na nią w milczeniu? Czy warto w ogóle mówić, czy warto dalej słuchać tych szaleństw spokojnych i metodycznych?

— Nie wiem, powiedziałem, po co się żyje, ani po co pan żyje — wiem natomiast, po co ja żyłem dotychczas. To wiem.

— No, no? zaciekawił się.

— Poto, żeby takich ludzi, jak pan, nie było. Żeby ich zniszczyć.

— Ach, stosuje pan dżibaku? spytał całkiem poważnie. — Znam to.

— Nie rozwiązał pan zadania. Żem się jednak na razie nie rozczarował — może pan iść: nacisnął guzik na stole. Wszedł esesowiec.

— Jeszcze się zobaczymy — powiedział Koestnitz, i drzwi się zamknęły. Kazimierz zamilkł. W czasie opowiadania twarz, nabiegła krwią, pociemniała mu, oczy zapaliły się od wnętrza, chwilami poruszał się i gestykulował, a spojrzenie stało się dalekie, widzące to tylko, o czym mówił.

— Trudno określić stan, w jakim przebywałem przez kilka następnych dni... wie pan, była to dziwna mieszanina emocji, strachu, oczekiwania, i jakiegoś śladu, cienia, cieniuszka nadziei. A może..? Widziałem — tak mi się wtedy zdawało — że to przecież nie jest taki sobie, zwykły sadysta. Starałem się tę naszą rozmowę, a raczej jego monolog zanalizować — i nie umiałem. On był ciekawy. Nie ciekawy człowiek: ogromnie, strasznie ciekawe zwierzę. Chcące wiedzieć — za wszelką cenę. Taki — wielki wiwisektor.

Wojciech Żukrowski

Przy baterii

Gałąź leszczyn trącona w galopie
coraz wolniej imię moje pisze...

Ten las od armat dudni.
Widziałem, nasyp w lornetce się złocił,
było samo południe
gdy runął pierwszy pocisk.

Łkało prute powietrze, piała pryskając stal,
las nagle sypnął liściem, gnąc się pod grzmotem salw.
Potem już wszystkie drzewa były gromów pełne,
a granat śpiewał górą, we mnie i pod hełmem.
Tak nad baterią stawał blask
obłąkanego ognia,
w dymie telefonisty prorocza twarz
świeciła jak pochodnia.
Urwali. Cisza.
Zalew upału przygniata okopane linie,
gałąź leszczyny zatknięta w błękit
zapomniała jak mi na imię.
Senna,
jeszcze strugę niezabudek przebrnij,
choć tratowana darń woła
gdy w dłoniach stulonych
— konni jadą, konni —
źródło opada najsrebrniej
i ty
zapomnij

Zwiad

Dosyć ognia. Krajobraz dymami zatruty
w staw opadał i granatów gwizdy
coraz rzadziej mąciły drzewa.
Gdyśmy na koń siadali, już telefoniści
kończyli zwijać druty,
wtedy padła komenda — śpiewać!

Jechaliśmy stępa, kurz, wieczór i smutek,
rosa pierwszych dalekich gwiazd,
sosny rękawy zmroku poprute,
tupiąc parskały konie w gruby piach.
Powracał zwiad śpiewając:
„...przyjdź, ucałuj jak za dawnych lat..."

Nagle drogę zamknęła latarka,
a potem strzałów trzask
i galop w pianie.
Echo ku nam waliło czarne łuki arkad
i szumiał las
„...przyjdź, ucałuj..."
I nim dobyta szabla blaskiem krzyknie,
poczułeś, że pocałunek na skroni ci stygnie,
poruczniku.
Na gruby mech upadło miękko ciało,
a dalej, a coraz dalej
cichł pogłos cwału...

Klęcząc nad tobą w ulewie gwiazd,
o zatrzymanie spadającej próżno się modlę.
Milczą przygięte gałęzie.
Kanonier prowadzi spotniałe konie
i dzwoni strzemię na pustym siodle.

Była to ciekawość dziecka, które obrywa musze nogi i skrzydełka po jednym, po jednym, i patrzy, jak czarna kulka życia dryga śmiesznie, jak uszkodzona zabawka mechaniczna.

Wstawałem codziennie rano — szedłem do roboty — wracałem — wszy mnie żarły — na plecach mnożyły się blizny, ł, na nowo rozcięte, stawały się ranami, gdy raz, w czasie przerwy obiadowej, wągrowata, szaro-czerwona gęba Groehlmanna zwróciła się w moją stronę. W dusznym, cuchnącym wyziewem ciał cieniu baraku spojrzał na mnie, i wstałem. Poszedłem za nim — gdy mnie zawołał — i od razu, bez słów, wiedziałem, dokąd idziemy. Cały się jakby wewnętrznie napiąłem, nastawiłem, usztywniłem, i czułem tylko wielką i dziwną tremę, ale żadnego strachu.

— Bo wie pan — dodał nagle, patrząc mi prosto w twarz — że ze strachem to w ogóle ciekawa rzecz. Oto ja na przykład, przy maturze straszliwie bałem się łaciny, serce mi zamierało, zimny pot mnie oblewał, gdy siadłem przy zielonym stole na przeciw profesora. Strach ten był tak intensywny w moim odczuwaniu, że w czasie, gdy stykałem się niejednokrotnie ze śmiercią, gdy obcowałem z nią — a poraniła mnie niezgorzej — ba, widząc nawet niebezpieczeństwo śmierci i śmierć samą moich najdroższych i najbliższych, nie doznawałem tego uczucia w tak nasilonej postaci. Człowiek jest, jak nakręcony pajacyk: jeżeli jakaś sytuacja wydaje mu się właśnie odpowiednia, żeby bać się — to się boi. Ale kładzie w to zaraz całego siebie, i potem, kiedy nadchodzą próby cięższe, nie ma już nic do dania. Ale to tylko taka uwaga marginesowa. Bo strachu w prawdziwym, już za gardło chwytającym niebezpieczeństwie, nie czułem — nigdy.

Otóż znalazłem się znowu w owym czarno-zielonym pokoju, na przeciw biurka, przy którym nie było nikogo. Ale teraz próbowałem już znaleźć jakieś konkretne nastawienie do mającej rozegrać się sceny, teraz starałem się przygotować na ostateczne i najgorsze, bo to zawsze jest lepsze od niewiadomego. Jakoż po dłuższej chwili zjawił się Koestnitz, z wypiętym wprzód przez brzuch zielonym mundurem, zaświecił na jedno mgnienie rozdwojoną łysiną, jego małe, wilgotne i niebieskie oczki przyjrzały mi się ostro i chłodno z mięsistych powiek. Patrzał na mnie, jak klasyfikator, jak entomolog na motyla, patrzał niemal bezczłowieczo — i milczał. Na to znowu nie byłem nastawiony, to mnie zaczęło denerwować. On widział to i czułem, że jest z tego zadowolony, że to jest jego celem.

— Pan mnie wzywał? — spytałem wreszcie, żeby przełamać za wszelką cenę milczenie, które stawało się po prostu ohydne i zaczynało mnie dławić w gardle.

— Tylko spokojnie, młody człowieku — powiedział cicho, jakby do siebie. Wiele pan myślał od czasu naszej rozmowy, nie prawdaż? próbował mnie pan sklasyfikować tak, jak wy to robicie, wstawić do przegródki z etykietą? Twarz taka... wzrost wysoki... oczy niebieskie... charakter siaki — i już. Roześmiał się nagle. — A nie... nie tak łatwo ze mną. Zanim się w panu kosteczki załamią, — bo to głupstwo — rzecz nietrudna — niech się mózg załamie.

— Niech się załamie! — wypowiedział te trzy słowa ostro i świszcząco, patrząc na mnie z przyczajoną w oczach groźbą: Milczałem. Nabrał tchu, wyrzucił wprzód nogi w butach z cholewami, a ich błyszcząca tłusto czerń utworzyła nieregularną plamę na zielonym chodniku. Próbowałem na nie patrzeć, ale te dwa kolory stały się jakby straszne. Wolałem już patrzeć mu w twarz. Było to, jakby zaglądanie do studni: wiało ciemnością i zimnem.

— I o cóż chodzi, powiedział, kontynuując głośno niewypowiedzianą myśl. — Chodzi o to, żeby poznać coś, nieprawdaż? poznać!? czy nie?

— To wszystko: i zbieranie kwiatów, i sonety i wiersze miłosne, i rzeźba, i malarstwo, i teoria względności, i Dachau, i Oberhausen, i kamery gazowe — co to jest, to wszystko? pan nie wie? to jest — szukanie. Wieczne szukanie. To jest kołatanie w mur, walenie pięściami, żeby zrozumieć, żeby poznać. Bo to tak jest: jeżeli jeden człowiek jest dla drugiego dobry — jeżeli chce być dobry — to może się okazać, że zostanie inaczej zrozumiany. Że to dla tamtego jest właśnie złem. Więc tak może być... A jeżeli jest niby to zły? co to znaczy — zły? Ból zadaje, kości łamie, gnębi, niszczy, przytłacza, i stąd w tamtym rodzi się trwoga, i nienawiść, i strach. Więc wtedy nie ma nieporozumienia — prawda? Ten człowiek wie: chcę zło wyświadczyć. A ten wie: zła doznaję. Jasno jest. A o to chodzi, żeby było jasno. Bo człowiek rodzi się uwięziony, i jest przez całe życie więźniem, i kołacze pięściami w ten mur straszny, i stara się wyrwać z tego obłędnego kręgu, i walczy, i rozkrwawia głowę o ścianę — i wszystko, wszystko daremnie. Uwięziony rodzi się, i uwięziony umiera. Cóż pan tak na mnie patrzy? gdzie uwięziony? no w sobie, w sobie samym. Czy można wyjść poza krąg własnego odczuwania? nie można. Czy można za cenę, niech będzie miliona ludzi, spalonych na żużel — przestać na chwilę odczuwać tak, jak ja, ja, ja! czuję? nie można...

Pochylił głowę. — Tak, to jest jakby kres. To jest i dla mnie granica. Znowu spojrzał mi w oczy.

— Ale nie! to tylko złudzenie. Bo ja mogę — wiele. Bo ja mogę i zrobię doświadczenie — wielkie, wspaniałe doświadczenie, jakiego jeszcze nie zrobił — nikt, nigdy. Dobrze?

Uśmiechał się zmrużeniem maski twarzy, tylko wargami. Oczy grały szkłem i wilgocią. Nacisnął czarny guzik dzwonka. Drzwi jakby bezosobowo pękły — wprowadzono dwie kobiety.

To jest, w pierwszej chwili zobaczyłem tylko pasiaki z numerami — że to były kobiety, poznałem — sam nie wiem, — po czym: nie miały piersi, ani długich włosów, i tylko dwie pary oczu żarzyły się, w zapadłych, spalonych głodem i męką twarzach.

— Pan będzie tłumaczył — powiedział krótko, nie patrząc na mnie, i do esesowca straży:

— To są te dwie przyjaciółki z dwunastki, tak?

Esesowiec przy drzwiach sprężył się i szczeknął:

— Jawohl! — jak żelazna kukła.

— Na also! — tłumacz pan.

I po kawałku zacząłem przekładać na polski leniwie, wyraźnie cedzone zdania. Nie kuszę się o powtórzenie ich panu dosłownie, powiedział mniej więcej tak: moje dobre kobiety, wiecie kim jestem? Jestem komendantem całego obozu. Otóż mając nad wami nieograniczoną władzę, oświadczam wam: zwolnię tę z was, która — drugą — zabije. No, która z was się zgłasza?

Przerwałem tłumaczenie, ale spojrzał na mnie raz tylko, i dopowiedziałem zdanie do końca. Dwie kobiety — dwa luźno zwisłe worki pasiastych łachmanów o ciemnych twarzach, nie drgnęły. Czy nie zrozumiały? dodałem po polsku:

— Nie wierzcie mu! Nie słuchajcie.

— Sie!! ryknął na mnie, jednym skokiem przerzucając masę kadłuba przez biurko: milcz pan! Ani słowa ponadto, co powiedziałem. Proszę, jeszcze raz od początku: tłumacz pan. I znowu dobitnie powtarzał swoją propozycję. Kobiety stały nieruchomo. Wtedy wstał, podszedł do nich — i z trudem, kalecząc okropnie polszczyznę, starał się je namówić, zbliżył się do jednej, wziął ją za bezwolny kikut ręki — wszystko daremnie. Coś w oczach błyskało — strach — nienawiść — głód — nie wiem. Milczały ciągle.

Koestnitz stał ku mnie tyłem, ale na jedną chwilę twarz jego zabłysła w szybie bibliotecznej. Wyglądało to, jakby miał śledzące mnie oczy w tyle głowy. Upiorne spojrzenie małych oczek, i zmięta, nerwowo latająca twarz. Ruszył ku drzwiom — wprowadzić — warknął. Esesowcy popchnęli kobiety. Nogi moje ruszyły się same, przysięgam panu, że same. Wszedłem do drugiego pokoju.

Co za obraz... była to najkoszmarniejsza jawa. To nie był pokój, ale betonowa klatka, z góry do dołu wylana gładkim betonem, polakierowanym na czerwono. Żadnych mebli, nic — tylko czerwony, lśniący matowo sześcian wnętrza i kawałeczek zakratowanego nieba pod sufitem. Chyba był to lakier — bo skądże tak świeży kolor u krwi?

Koestnitz odwrócił się i wysoki, pękaty, w rozdętym na brzuchu mundurze, warknął coś, czego nie zrozumiałem. Jeden esesowiec odkleił się od drzwi — zniknął. Zapanowała cisza zmieszanych oddechów Dwie kobiety stały ciągle apatyczne i nieruchome.

Wtedy wprowadzono trzecią — właściwie, jakby taką samą — może twarz miała jaśniejszą — nie wiem, bo widziałem ją bardzo krótko. Szerokie, masywne plecy Koestnitza zakryły ją od razu, i przypierał ją do czerwonego betonu ściany, gdy prawa ręka wyszarpnęła z pochwy rewolwer. Zabłysnął czarny, metalowy kształt — kobieta przy ścianie nie mogła go widzieć, ale w oczach Niemca ujrzała chyba śmierć. Bo cienki, bezradny skowyt rozdarł jej gardło, bo zaszamotała się pod jego wzrokiem, bo — — — Kazimierz urwał i zakrył twarz rękoma. Po chwili, nie odrywając ich od oczu, mówił dalej głucho, i ciszej:

— Koestnitz sam jakby się wprawiał w ekstazę, czy szał, patrząc na jej strach. Nie widziałem twarzy — tylko pochylające się, nadymające mundur, olbrzymie, straszliwie na tle czerwonej ściany zielone plecy, drgające i łamiące się w huku nagłego wystrzału. Błysk — dym — w nozdrza zapiekł mnie gorący swąd kordytu — ludzka szmata, przypłaszczona przedśmiertną drgawką do ściany trwała chwilę — trwała — i klapnęła rękoma o podłogę.

Teraz Koestnitz przystąpił do tamtych, wciąż tak samo nieruchomych, i powiedział:

— No, rozumiecie, kobiety? która z was drugą zatłucze, zabije, ta będzie wolna. Wolna!

Milczenie.

Wpadał w pasję. — A jeżeli nie — to każę obie rozstrzelać! Zaraz rozstrzelać. — Nic, była cisza. I wtedy — wtedy Koestnitz pochwycił rękę jednej, uderzył nią drugą, i rzucił je na siebie. I sam nie wiem, jak i skąd — na ziemi taczał się kłąb — jęk — wrzask, i charczenie, i rozlatane w bezsilnej wściekłości kułaki, — opar czerwony stanął mi przed oczyma — i rzuciłem się naprzód. — Dostałem kol-

Aleksander Widera

Elegia popielata

1.

Na rumowiska pójdziesz sam,
gdy serce robak toczy.
Pesymistyczny Pan Bóg tam
w sadzawce nogi moczy.

Droga chce minąć wstrętny swąd —
śmietnisko magistrackie.
Zły staw jej wyjścia broni stąd,
gnijącym śmierdząc plackiem

Pośród cuchnących trupio spraw
na wietrze rymy pisał
poeta — taki dziwny strach,
a pies mu mordę lizał.

Ramieniem tu ogarniał świat
zaduch, a może szatan.
Poecie z rąk ostrzymny kwiat —
elegia popielata.

2.

Patrząc na wszystko, co brzydkie,
zaduchy ziemi chłonąc,
opatulony w pesymizm,
jak Budda w kucki trwam.

Przyjacielu, o Tobie myślę,
Ciebie wspominam i płonę
między smutkami tymi
bez Ciebie bardzo sam.

3.

Onej nocy padał śnieg i cisza
(Śnieg był biały,
cisza była czarna),
Gestapowcy stali i patrzeli,
jak Ci z oczu wyskoczyła sarna.
Matka głową dotknęła żarówki,
z czego izba poczęła dygotać.
Siostra we drzwiach stanęła jak dniówka,
chciała podejść do tych panów bliżej,
lecz się nogą potknęła o kota.
Czarny kot wybuchnął z paraliżu,
skoczył w okno, wybił sobą szybę
i tak brzękiem połączył się z nocą.

Antek Popiół nie wierzył w Chrystusa.
Lecz gdy owi dwaj ze skutym szli,
matka wstała i pomimo to
przekreśliła krzyżem rozpacz drzwi.
Antek Popiół, w którym wszyscy święci
pokładali wiarę i nadzieję,
w taczkach zaczął wozić własne dzieje,
w taczkach kamienny Oświęcim.

Dyplomaci pluli sobie w brody,
Adolf Hitler napisał Mein Kampf.
Antek Popiół w taczkach mimochodem
cały świat na drugą stronę pchał.
Byłby może umarł od tych taczek,
lecz go bardzo bili poganiacze,
więc do śmierci droga jest daleka.

Słońce było schorzałe i późne,
jakby z pieca wyszło albo z kuźni.
Gdzieś na drodze zatrzymał się czas.
Posterunek spojrzał na zegarek,
potem prędko w palto cieplej wlazł
i pomyślał, że ten wiatr to wariat.
Gdzieś daleko poza siódmą bramą
strzał od mrozu z trzaskiem się odłamał,
chmura wróbli urwała się z drzew.
Antek Popiół poczuł w ustach ciepło
krew.

Krew na śniegu miała takie oczy,
że poeta pióro w niej zamoczył.

Więc suchoty, więc krwotok, więc teraz
Antek Popiół naprawdę umierał.
Nie. Od śmierci obronią go kije,
zamknąć oczu nie pozwolą nijak
wszy i pluskwy.

Nazajutrz Antek Popiół nie poszedł do taczek,
pod dachem znalazł łaskę, został na rewirze.
Na dworze szczerzył zęby mróz, gdy wiatru wyżeł
wydłużał był krajobraz lub koła zataczał.
Po przez otwarte okna przeciąg chciał z nóg zwalić
tych, co to w dwuszeregu pode ścianą stali
i mieli odmrożone członki, w ustach krew.

Antek Popiół na rękach stojącego druha
pewnej cichej godziny oddał Bogu ducha

bą w bok od esesowca, i upadłem. Koestnitz nie widział mnie. Patrzał, jak się to dwoiste, żywe ciało przewalało, jak się tratowało, skrzypiało ścięgnami w ostatecznym wysiłku furii, aż coś tam chrupnęło, podniosło się wzwyż — i jedna siedziała na drugiej, gniotła kolanami klatkę piersiową, dławiła za gardło i biła, biła, biła...

Wiem tylko, że nagle była już znowu cisza — ale inna, niż przedtem. Koestnitz stał — patrzał — jedna z kobiet wstała. Na ziemi została mała i przypłaszczona kupka łachmanów — i więcej nic. Tylko niepotrzebnie otwarte palce niedużej dłoni uspokajały się w rozkurczu śmierci.

— Na... so, powiedział Koestnitz, i znowu był zadowolony głos badacza. Był całkiem spokojny, obojętnie patrzał na tę, która wstała, w podartym pasiaku, przez który łyskało jej dziwnie białe, nagie ciało, zadrapane i podbiegłe krwawymi wybroczynami: i rzucił lakonicznie w stronę drzwi:

— Wegfuehren!

Wtedy jakby ogniem palona, skoczyła ku niemu:

— Jakto — ależ — ja — nie! ja mam być wolna — wolna. —

Grad ciosów zdusił bełkot. Porwali ją za ręce, za płótno pasiaku i wynieśli. Zostaliśmy sami. Czułem, że nadchodzi niebezpieczeństwo. Stanu mego nie spróbuję nawet opisać. Jakiś zawrót głowy — czy chwianie się — jakby podłoga stała się nagle niepewna i miękka — ale to mało jeszcze. Bo zarazem widziałem wszystko jasno i wyraźnie. Koestnitz zbliżał się, rósł mi w oczach, zbliżał się, aż zmusił mnie, żebym mu spojrzał w oczy. Bałem się tego. Bałem się strasznie, co było w tych oczach!?

Nic nie było. Spokojne i niebieskie zamrugały wilgotno w czerwono rozciętych powiekach, i powiedział, ukazując żółte od tytoniu zęby:

— Na... schoen, nicht wahr?

I otworzył drzwi do czarno-zielonego gabinetu. Grube, opatrzone specjalnym zamkiem drzwi.

Poszedłem za nim — bezwolny? apatyczny? — przelękniony? nie wiem. Nazwij pan to, jak pan chce. Usiadł na fotelu wygodnie, rozłożył się, i:

— No, i gdzież są ci dobrzy ludzie? — spytał mnie od razu. To były dwie przyjaciółki — serdeczne, wspierające się przyjaciółki. — W nieszczęściu. No, i gdzież przyjaźń? wykazałem panu prawdę — znaną mi zresztą już dawniej: W człowieku nie ma dobra, ani zła. Jest tylko rdzeń — i maska. Maska — to humanizm, cnoty, religia, Chrystus, bliźni, dobro, i takie tam faramuszki. A rdzeń, a jądro, a prawda — to zło. A raczej nie zło, ale to, co wy, głupcy, złem nazywacie. Wy wszyscy jesteście ślepi na istotę człowieka, jak na kolory. W człowieku jest tylko jedno — ani dobro, ani zło, ale to, co przed chwilą wydobyłem doświadczeniem. Zaraz zobaczymy, jak długo będzie pan żył. Ale do ostatniego tchu pamiętaj pan, że znalazł się ktoś, kto dotarł w człowieku do dna. Do dna! A to ja jestem, który to zrobił: Siegfrid Koestnitz. Czy wierzy mi pan? pytał miękko, cicho. Czy jest dobro w człowieku?

Teraz muszę przerwać opowiadanie. — Kazimierz spojrzał mi w twarz. Biorąc powierzchownie, sytuacja wyglądała tak: ten człowiek, który zamordował przed chwilą dwoje ludzi tylko dlatego, żeby mi udowodnić swoją szaloną tezę, żądał ode mnie uznania się za pokonanego. Żądał stwierdzenia, że w człowieku dobra nie ma, a jeśli jest, to tylko powierzchowne i za słabe, żeby mogło znieść próbę ostateczną i najcięższą, próbę grozy śmierci. Otóż możnaby przypuszczać, że powinienem był odpowiedzieć potakująco, tylko dla uratowania życia, pozostając przy swojej wierze w człowieka — albo też zaprzeczyć, narażając się tym samym na niewiadome, nie zyskując niczego, a tracąc wszystko. Prócz może jakiejś aureoli bohaterstwa. Ale to właśnie powierzchowne. Bo człowiek w takiej decydującej chwili staje się rzeczywistą jednością, monolitem, i wierz mi pan — doprawdy, nie może iść za żadnym głosem — ani rozumu, ani poświęcenia, ani bohaterstwa, tylko wszystko, co w nim jest, co w nim żyje i czuje, zrywa się i wybucha, wybucha to skądś, z jakichś nie przeczuwanych w sobie samym głębi. I postępuje się nie tak, jak się chce — ale jak się musi. Tak, jak się musi!

— I co pan mu powiedział? — spytałem cicho.

— Powiedziałem, że kłamie... Kazimierz patrzał mi w oczy, jakby zaglądając w moje myśli. — Czy pan mnie rozumie...?

— Zdaje mi się, że rozumiem.

— To naprawdę nie było bohaterstwo: bohaterstwo jest wtedy, jeśli się ma dwie drogi: ucieczki i ataku. Ja wyboru nie miałem...

On nie powiedział nic — tylko jakby trochę skurczył się, chwilę wytrzymał, żeby we mnie wezbrał strach po uświadomieniu sobie tego, co powiedziałem, i nacisnął guzik.

Wszedł esesowiec — Koestnitz kazał mnie odprowadzić.

— Czy nie miałem racji, na początku? Cóż to było za potężne, wspaniałe bydlę — cóż to był za okaz — ten Hauptsturmfuehrer Koestnitz...

Przerwał, zakaszlał i ciągnął dalej:

— Teraz nastąpiło najgorsze. Ja wiedziałem, że to się tak nie skończy, że będzie ciąg dalszy, że jestem dla niego jeszcze nierozwiązaną zagadką, jeszcze niezniszczoną zabawką, że on nie pójdzie na to, co zrobiłby inny na jego miejscu: że nie użyje w stosunku do mnie tortury fizycznej, by wymusić wyznanie swojej wiary, czy raczej niewiary. Że on mnie zechce przekonać — przekonać naprawdę. A przekonać, to znaczyło: złamać.

Po kilku tygodniach, kiedy nieustanny strach i napięcie zaczynały mnie wprawiać w rodzaj otępienia, bezmyślna, tłusto błyszcząca twarz esesowca Groehlmanna znowu skierowała się ku mnie, i wtedy, jakby mi serce przeszyła rozżarzona platynowa igła: zrozumiałem, że nadchodzi czas próby. Poszedłem za nim.

Tym razem Koestnitz siedział na fotelu, czekając na moje przybycie. Z miejsca zapytał mnie, co sądzę o jego eksperymencie, czy nie jest on dla mnie dość obiektywnym sprawdzianem. Mówił tak chłodno, tak obojętnie, tak spokojnie, że jedyną pasją, jaką wyczuwałem w jego głosie, była — pasja badacza, czy naukowca. Upiorny sztafaż, otoczenie, wprawiało mnie — być może — w jakiś stan anormalnego spokoju, wewnętrznego zimna — dość, że odpowiadałem trzeźwo i krótko, wyłuszczając mu swoje poglądy nie jak ktoś, kto chce bronić się, czy oponować, ale opisując jakby coś, co widzę, co mogę wziąć do ręki, co mam przed oczyma. Że człowiek jest częściej słaby, niż mocny, i częściej zły, niż dobry, ale jest w nim zawsze — wszystko. I dobro, i zło, i słabość, i siła. Ale wierzę, i wiem, że są i tacy ludzie, którzy są dobrzy — aż do dna, i aż do dna — mocni.

Milczał, spokojny, kiedy mówiłem. Ale gdym skończył, być może, nieco wzburzony — tym właśnie chłodem i flegmą, z jaką przyjmował moje słowa, odezwał się krótko:

— Pewno Jacek Żyśniewski jest takim człowiekiem...?

Wszystko we mnie struchlało. Zadrżało. Zamarło.

Jacek? skąd ten gruby Niemiec wiedział o moim najdroższym przyjacielu? Nie odpowiedziałem nic. Koestnitz nacisnął guzik.

Drzwi, czarne drzwi otworzyły się, i Jacek w pasiaku, pod eskortą dwóch Niemców wszedł, a raczej został wepchnięty do pokoju.

Patrzałem, a jeszcze nie wierzyłem. I on patrzał. Jakieś drgnienie przeszło przez nas — jednocześnie.

— Jacek, trzymaj się! — zawołałem jeszcze odruchowo, ale Koestnitz już wstał, ogromna masa jego cielska poruszała się znowu lekko i pewnie, oczy kryły się w nawisłych powiekach — i: Maul halten! ryknął do mnie, podchodząc jednocześnie do Jacka.

I zaczął grać. Nie mogę tego inaczej określić: zaczął grać. Giętki, szybki, celowy w słowach, w ruchach, gestach, tłumaczył Jackowi, który stał nieruchomy ze schowanym głęboko błyskiem szarych oczu — że chodzi o głupstwo. Że Jacek jest skazany na dożywotni pobyt w obozie, za pracę w „nielegalnych organizacjach“, ale on Koestnitz, weźmie już to na siebie. Zamiast mąk śmiertelnych, zamiast ruiny powolnej człowieczeństwa, zamiast gruzu i osypiska wszystkich nadziei i myśli — wolność. Życie. Żeby tylko się zgodził. I namawiał, i kusił, i tłumaczył, i ślinił się, miotał przed tamtym, a dwaj esesowcy — dwie żelazne kariatydy — zaćmiewały scenę tępym spojrzeniem niemyślących nigdy oczu. Jacek stał i słuchał, stał i słuchał — nie wiem, czy znał już Koestnitza, jak ja. Ale kiedy Hauptsturmführer wytrząsał nad nim rękami i prosił, groził a zaklinał, obiecując wszystko, to znaczy wolność, za głupstwo: za zgodę, skinienie głową, zwyczajną zgodę na zabicie człowieka, to znaczy mnie — nie będziesz tego nawet widział, powiedział, zresztą on i tak zginie tu, prędzej, czy później, więc cóż to za różnica? tylko powiesz: tak, zgadzam się — i będziesz wolny! wolny! — kiedy cały był palącą wściekłą, złą i oszalałą pokusą, wtedy — przez jedno mgnienie — między czarnym hełmem esesowca, a szerokimi plecyma Koestnitza zobaczyłem zapadłą, ściągłą na wystających kościach twarz Jacka.

Był dużo niższy od Koestnitza, ale kiedy ten odchylił się na bok, oczy nasze spotkały się. I spojrzenie jego takie, jak dawniej, mocne, pewne, spokojne i jasne mimo wszystko, przez wszystko, to spojrzenie wstrząsnęło mną. Bo już w tej chwili zrozumiałem, że to daremne. I kiedy ten olbrzym, ten szaleniec gadał, wyrzucał ze siebie kawały słów, skrzeczał swoim ostrym niemieckim dialektem, kiedy grał swoją rolę, przestawał być Mefistofelem, postacią straszną, diaboliczną, upiorem i sadystą, a stawał się melodramatyczny i śmieszny. I bezsilne były jego teatralne gesty, i daremne kuszące słowa, i próżno ciągnął Jacka za ręce, i darmo - darmo wyrwał z pochwy rewolwer, świecił mu w oczy czarną próżnią lufy, zbliżał się, przyciskał do ściany — a ja stałem i patrzałem.

Jacek też patrzał, ale inaczej. Ja — patrzałem tylko, i widziałem: on patrzał. i wiedział.

Panie Marianie — pan nie znał go, pan nie znał Jacka... Wszystkie moje nadzieje, wszystkie myśli były związane z nim. On mógł, on umiał, on chciał tak wiele, tak wiele... Ja umiałem i mogłem tylko — podziwiać go. I w szkole, i w życiu. Przez jedną, krótką chwilę pomyślałem, że gdyby on się zgodził, to i tak nie przesądziłby niczego, bo ja nie przetrzymam obozu, i zginę napewno: tak — czy tak... Że gdyby się zgodził, nie byłoby w tym nic złego. Bo on był zbyt ważny, zbyt potrzebny, zbyt konieczny, żeby zginąć w sposób tak głupi i szaleńczy. Ale jeszcze myśl ta nie skonała, a ja wiedziałem, że Jacek tego nie zrobi. Że Jacek nie powie nic, że te usta już nie otworzą się, że nie skinie głową. Nie zrobi tak, on tak zrobić nie może, bo nie umie. Koestnitz, doprowadzony do ostateczności, groził i prosił, uderzył go, rzucił na ścianę, ale ten pozbierał się z ziemi i stanął znowu, i znowu zaświecił mu swoimi oczyma w twarz, oczyma pełnymi głodnej i prześwietlonej nienawiści. A wtedy Koestnitz — — Kazimierz urwał. Twarz zacisnęły dłonie kurczowo i mocno. Skulił się, uderzył głową o kolana, drżał.

— A wtedy — wtedy Koestnitz? powtórzyłem jego ostatnie słowa, nachylony, żeby mu wydrzeć zatajony ostatek prawdy.

Milczał.

— Panie Kazimierzu!

Milczał. Pociągnąłem go za surdut. —

— Co zrobił Koestnitz?

— Koestnitz strzelił — grubo, niechętnie i niewyraźnie wybełkotał Kazimierz zza splecionych rąk.

— Jak? — wyrwało mi się głupio.

Ręce opadły, tułów poderwał się. Mokra, rozdygotana a zalana łzami twarz zaświeciła w półmroku.

— Koestnitz strzelił, i mózg Jacka prysnął na bibliotekę, na czarną politurę i zielone książki. Upadł, jak kloc. Ale nie to było straszne. Nie to!! nie to!

Dreszcz mnie przeszedł.

— A co, spytałem, jakby zarażony jego obłąkanym podnieceniem.

— Kiedy Koestnitz strzelił, ja stałem. Patrzałem i stałem. Esesowcy podeszli, żeby mnie wyprowadzić — a ja stałem. Stałem i patrzałem: Nic, tylko stałem i patrzałem! Czy pan to rozumie?

I pełen bezsilnej, spalającej rozpaczy rzucił się na łóżko.

Wstałem ostrożnie i cicho, jak koło ciężko chorego.

Powoli, powoli podszedłem do drzwi. Brudno-kłębiaste chmury wpłynęły na horyzont i ich ciemna, błotnista masa gęstwiła się w oddali, rzucając na pokój niespokojny, dziki, rudy poblask, zwiastun nadchodzącej burzy. Gdzieś uderzyły o szyby gałęzie, zamiecione w wir pierwszym uderzeniem zimnego wiatru. Ująłem klamkę, nacisnąłem ją.

Zamykając drzwi, spojrzałem raz jeszcze na pokój. Na jasnym tle łóżka gięła się niska sylwetka. Czarny, jak z papieru wykrojony kontur pochylonych pleców załamywał się i drgał.

Kazimierz wciąż płakał.

Kraków, 28 - 29 - 30 IX. 45.

»Slovansky przehled«

Ukazał się w Pradze, po 7-letniej przerwie podwójny zeszyt zasłużonego i cenionego miesięcznika „Slovansky Przehled“ (Przegląd Słowiański — str. 128; założył Adolf Czerny; redaktor naczelny prof. dr. Ant. Frinta, Praha XII, na Szafrance 11, Rocznik XXXII).

Każdy, kto interesował się przed wojną sprawami słowiańskimi lub ruchem słowiańskim, określanym także mianem wzajemności słowiańskiej, ten nie mógł pominąć w swej lekturze miesięcznika praskiego, wydawanego przez praski Instytut Słowiański (Slovansky Ustav). Prawda, mieliśmy i my swoje pisma periodyczne, poświęcone sprawie poznawania Słowian, z ogólniejszych a nie specjalnych wymienić należy lwowski „Ruch słowiański“, skromny miesięcznik, wychodzący od roku 1928 po wrzesień 1939 pod niestrudzoną redakcją Władysława T. Wisłockiego. Ale pamiętamy jeszcze doskonale jak musiał się redaktor tego nader skromnego pisemka borykać z trudnościami finansowymi. Pamiętamy też że nakład tego jedynego pisma typu ogólnego, informującego Polaków o życiu i sprawach Słowian, nie przekraczał tysiąca egzemplarzy.

Ostatni przedwojenny numer „Slovanskeho Przehledu“ ukazał się już po zajęciu Czechosłowacji przez Niemców, a w przeddzień drugiej wielkiej wojny światowej. Były tu jeszcze reprezentowane polonica (O reformie szkolnej w Polsce pisał Boh. Vydra, o taktyce Ukraińców w Polsce V. Charvat, kilka nekrologów i recenzyj), są nieśmiałe próby oceny nowej sytuacji politycznej Słowiaństwa, a szczególnie Czechosłowacji, rozbitej już wówczas na Słowację i Protektorat.

Obecny wskrzeszony „Slovansky Przehled“ bogactwem materiału i rozmachem pracy redakcyjnej, widocznej przy ułożeniu tego numeru, jest w serii trzydziestu dwóch roczników edycją najlepszą. Adolf Czerny, sędziwy entuzjasta wzajemności słowiańskiej, polityk i wielki polonofil, a równocześnie założyciel pisma i długoletni jego redaktor, pisze artykuł wstępny, mówiący o początkach pisma. Nie brak tu i wspominek polskich. Czerny opowiada o poznaniu się z Wilhelmem Bogusławskim, autorem „Rysu dziejów serbo-łużyckich“ i „Dziejów Słowiańszczyzny północnozachodniej“, co miało wielki wpływ na ukształtowanie się orientacji słowiańskiej u Czerneho. Nauczycielem swoim i wielkim przyjacielem nazywa poznanego w Dorpacie slawistę polskiego J. Baudouina de Courtenay. Wspomina swe podróże do Warszawy i poznanie się z Janem Karłowiczem. Pisze Czerny, że zawsze starał się i będzie to czynił nadal, by jego jak i obca publicystyka słowiańska w sposób sprawiedliwy wyrównywała spory i stosunki rosyjsko-polskie, ukraińsko-polskie, serbochorwackie itd. Pisze dalej, że „zawsze czynił rozdział między absolutystyczno-biurokratycznym reżimem, który był nieszczęściem Rosji, a między wielkim narodem rosyjskim, wielkimi jego mężami i siłą duchową Rosji, która zawsze stała w walce przeciw Rosji, reprezentowanej przez Pobiedonescewa“.

Vladimir Meńszagin (Moskwa) pisze o sowieckiej demokratyczności. Artykuł w sposób jasny przedstawia strukturę wewnętrzno-polityczną Związku Radzieckiego, próbując ją wyprowadzić z ducha demokracji. Milovan Djilas z Belgradu mówi o udziale człowieka sowieckiego w walce Jugosławii przeciw Niemcom. Słabą stroną artykułu jest brak konkretnych danych o udziale Rosjan w wyzwoleniu Jugosławii. Artykuł ma raczej charakter emocjonalnego wspomnienia, rejestrującego pewne tylko elementy, przeważnie zresztą psychiczne, sowiecko-jugosłowiańskiego braterstwa walki. Jaroslav Michl daje na 12 stronach dokładne omówienie sprawy reformy rolnej w Polsce. Poprzedza je opisem wsi polskiej do roku 1939, jej stanu gospodarczego i prób reformy rolnej przed minioną wojną. Wykazuje braki reformy rolnej z lat 1920 — 1925, ze znawstwem przedstawia daremne zabiegi demokratycznych warstw narodu polskiego o gospodarcze podniesienie wsi polskiej. Następnie przechodzi do dokładnego omówienia zasad niedawno przeprowadzonej u nas „chłopskiej reformy rolnej“, nie cofa się przed podkreśleniem jej niektórych błędów, by wreszcie wyrazić swą radość z „nowego ducha, którym przeniknięte są wszystkie konstruktywne warstwy narodu polskiego“. Artykuł Michla da czytelnikowi słowiańskiemu rzetelny przegląd walki wsi polskiej, o jej gospodarczy poziom, a sprawy aktualne wyjaśni bez zacietrzewienia, tak częstego w podobnych pracach polskich. Josef Fiala pisze o nowym obliczu życia bułgarskiego i stosunku Czechosłowacji do niego. Jaroslav Tuma drukuje swą „Uwagę o Trieście“, dając równocześnie krótki zarys problemu słoweńskiego. Uwagi swe kończy następującymi wnioskami: 1) Słoweńcy nie posiadali Triestu, ponieważ w czasach historycznych nie posiadali szlachty, a więc nie mieli siły politycznej, która by im to miasto w czasach feudalnych zapewniała. 2) Postęp merkantylizmu i nacjonalnego liberalizmu przyniósł równocześnie obronę przed słoweńszczeniem się Triestu, obronę metodami gwałtu i ciemięstwa, mimo to nie udało się wytrzebić mniejszości słoweńskiej w mieście. 3) Koniecznym wydaje się utworzenie federacyjnego jugosłowiańskiego Triestu: każde inne rozwiązanie oznaczałoby bowiem sankcjonowanie starej i nowej przemocy w Trieście.

Dział przeglądów jest wyjątkowo bogaty. V. Outrata daje obraz Rosji Sowieckiej po wojnie. Równie obszerne uwagi czytamy o nowej Jugosławii. W uwagach tych autor podaje ocenę i przekrój sytuacji politycznej, gospodarczej, socjalnej i kulturalnej oraz donosi o rozwoju stosunków czesko-jugosłowiańskich. Adolf Malek pisze o genezie, rozwoju i charakterystycznych cechach życia politycznego w nowej Polsce. Malek pisze, że w Polsce egzystuje również prasa opozycyjna, a zalicza do niej niektóre pisma, wydawane przez Sp. Wydawn. „Czytelnik“ oraz prasę PSL. „Cały świat wita — pisze Malek — tę swobodę słowa w Polsce, ale spodziewa się też, że nie zostanie ona wykorzystana przez siły reakcji przeciw demokracji“.

Tadeusz Lehr-Spławiński z Krakowa pisze o losach Uniwersytetu Jagiellońskiego, jego profesorów i uczni w czasie wojny. Jest to niezmiernie cenna pozycja, potwierdzająca wobec zagranicy szczególnie wysoką cenę, jaką naród polski, a tym samym i nauka polska płaciła sześć lat za wolność narodu.

J. Fiala informuje o życiu politycznym w Bułgarii, charakteryzując poszczególne, działające tam stronnictwa polityczne. A. Frinta zaś pisze o krytycznej postawie Serbów łużyckich. Najcenniejsza to bodaj pozycja w dziale przeglądów. Po raz pierwszy po wojnie spotykamy się tu z dokładną i spokojną oceną sytuacji na Łużycach. Cały ten artykuł wart przetłumaczenia i ogłoszenia w prasie polskiej, która albo tonie w odniesieniu do Łużyczan w mglistej uczuciowości albo też, jak to uczyniła niedawno łódzka „Kuźnica“, zajmuje stanowisko nieprzychylne i wrogie, wynikające z założenia, że germanizacja Łużyczan poszła już zbyt daleko, by można z nich wykrzesać jako tako uczciwą słowiańskość. Artykuł A. Frinty stanowi przez swą dokładność i obiektywizm cenny materiał dla historyka życia narodowego na Łużycach. Frinta omawia po kolei wszystkie wydarzenia na froncie walki o niepodległość Łużyc, jakie zaszły od roku 1945. Fragmentarycznie jedynie i niekompletnie wspomina o czasach wojennych; dowiadujemy się stąd o prołużyckiej akcji polskiej w Londynie i w Ameryce. Następnie przedstawia nam Frinta ludzi, którzy kierują życiem narodowym Łużyczan i elementy, które mają je podnieść i utrwalić. Na ogół artykuł Frinty nacechowany jest lekkim pesymizmem, którego nie sposób się pozbyć szczególnie przy omawianiu sytuacji na samych Łużycach. Z artykułu Frinty wynika, że władze okupacyjne sowieckie albo z nieświadomości, albo też w wyniku pewnych programów politycznych niechętnie odnoszą się do życia narodowego Łużyczan, popierając tu raczej Niemców, przemianowanych na „demokratów“, a prowadzących nadal swą ostrą germanizacyjną robotę.

Kronika spraw, rocznic, nekrologów, recenzje, kronika organizacyj pracujących na polu zbliżenia narodów słowiańskich oraz spis czasopism o orientacji słowiańskiej (przed wojną było ich 12, w tym jedno polskie, 2 serbskie, 1 chorwackie, 2 bułgarskie, 6 czeskich oraz jedno niemieckie „Slavische Rundschau“ — obecnie mamy 1 sowieckie, 1 chorwackie, 2 serbskie, 2 bułgarskie, 2 polskie i 15 czeskich) dopełniają całości numeru. W dziale „nowe książki“ bogato reprezentowane są recenzje z książek polskich i tak omówienia doczekały się „Terror niemiecki w Zamojszczyźnie“, „Documenta occupationis teutonicae“, „Dokumenty zbrodni i męczeństwa“, wspomnienia oświęcimskie i oranienburskie, Wojciechowskiego „Polska — Niemcy“ oraz broszura „Chłop polski w dziejach i literaturze“.

Podana na końcu numeru bibliografia rejestruje wydawnictwa i czasopisma rosyjskie i polskie. Bibliografia polska pomimo pewnych luk tak w dziale książek jak i (mniej licznych) w dziale czasopism jest nadzwyczaj cenną pozycją dla kadego przyjaciela Polski zagranicą. A także i w Polsce, gdzie brak jest sumarycznego ujęcia polskiej akcji wydawniczej, może spełnić swe zadanie informacyjne.

Tak oto bogato przedstawia się wskrzeszony „Slovansky Przehled“, któremu życzymy długich jeszcze lat życia.

Jerzy Szumilas.

Pożegnanie niemieckiej karykatury politycznej

W „Simplicissimu'sie" z roku 1907 znajdujemy świetną karykaturę polityczną T. Heinego. (1) Z oburzeniem pisze Fritz Maier Hartmann (Dokumente der Zeitge-



Ryc. 1. Autentyczny tekst pod rysunkiem: Jak sobie murzyni w niemieckich koloniach wyobrażają diabła.

schichte, 1 tom, 1941 r.) że tego rodzaju żydowsko-marksistowska propaganda przeciw Niemcom bezkarnie uprawiana być mogła przed wojną światową. Rysunek T. Heinego scharakteryzował lepiej niż setki źródłowych rozpraw nagą duszę Niemca, wiecznego militarysty. Tak sobie murzyni w koloniach niemieckich przedstawiali diabła. Dziś zmieniły się rekwizyty — niemodną szablę zastąpiła doskonała broń techniczna. Pickelhaubę — czapka gestapowca. Trafna intuicja Żyda T. Heinego ujrzała w Niemcu kata, diabła ludzkości.

Chwila zastanowienia zmusza nas do uwagi nad celowością karykatury politycznej. Podkreślając i zwiększając cechy cha-



Ryc. 2. Umiłowana karykaturzystów niemieckich: pani Roosevelt.

rakterystyczne danego przedmiotu, faktu, zjawiska, osoby, — usiłowanie karykaturzysty idzie w kierunku wesołego przejaskrawienia przedstawionego przedmiotu — niekiedy zaś rysunek wywołuje wstręt, obrzydzenie obiektu skarykaturowanego. W każdym razie budzi ze stanowiska autora-artysty stałe nastawienie tendencyjne. Tendencje osób karykaturujących, zespołu redakcyjnego, koncernu czy narodu zaciążą nad karykaturą danego czasu. Tę cechę tendencyjności „mistrz" propagandy Goebels postawił na czele swej działalności — i odtąd prawie, dokładnie od 1933 roku tendencyjność zaciążyła nad prasą Trzeciej Rzeszy — aż do czasu kiedy wiatr dziejowy zmiótł tomy Goebelsowskiego „Simplicissimus'a", „Fliegende" i „Lustige Blätter", szpalty „Das Reichu" — „am Rande der Weltgeschichte".



Ryc. 3. Prasa doniosła: „W Norwegii kilku gestapowców i SS-manów ukrywało się w budynku dla psów".
— Hallo! Jest tam kto?
— Tu nie ma nikogo, tylko my, psy!

Z uczuciem zadowolenia otwierał Niemiec wielostronnicowy „Reich", gruby sprzed 1941 roku, a stopniowo w przebiegu kampanii sowieckiej i drugiego frontu topniejący do 4 stronnic. Latami całymi na drugiej stronie czekały na niego między pierwszą a czwartą szpaltą jedna, na ostatniej stronie zaś cała seria karykatur „am Rande der Weltgeschichte". To była esencja wydarzeń całotygodniowych, godna stanąć obok wstępnego artykułu Goebelsa czy jego urzędowych reportażystów.

Jedne i te same rzeczy wystawiano na światło, jedne i te same rzeczy otaczano tajemnicami.



Ryc. 4. W „oswobodzonej" Francji. „Tego trzeba zastrzelić! Widziałem na własne oczy, jak otwierał Niemcom drzwi!"

O ile grube ryby życia politycznego z NSDAP nie były tykane, nawet w dodatnim świetle karykatury, o tyle spisywano całe ołówki, kredki, zużywano litrami tusz, atrament, farby, by poświęcić choćby generalissimusowi Stalinowi setki rysunków wyłącznie o nim (u jednego z lipskich nadkładców) czy Wielkiej Brytanii („G. B r i. sieht Gross-Britanien" Klieber, Berlin 41) czy serię listów gończych za całym szeregiem polityków (W i l l y K e y — Kölnische Illustrierte 1941). Na prawdę jedną z najwięcej lubianych postaci, najchętniej karykaturowanych była pani Roosevelt. (2) Na niej wyładowywało się hamowaną nienawiść, by po przystąpieniu USA do wojny przemienić się we wściekłość.



Ryc. 5. „Owinięci przez Rommela". Dwaj angielscy przeciwnicy gen. Rommela w kampanii afrykańskiej.

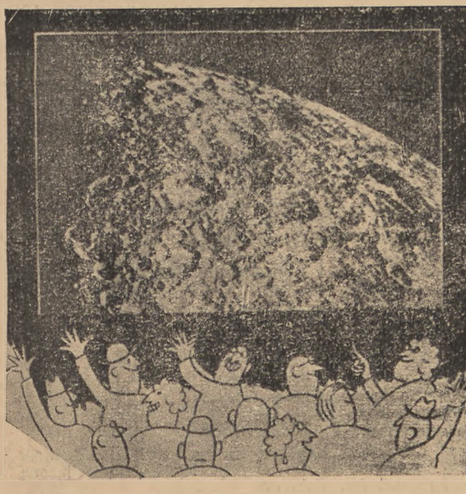
Nie karykaturowano w Niemczech ustroju, władz, wojska, tylko dobrodusznego safandułę, kochliwego żołnierza (Lili Marlen), profesorów — karykaturowano pionki — nigdy zaś króle. W okresie zbiorki zimowej drobnomieszczańską kołtunerię, człowieka takiego jakim jest, nie — Anglika, nie — Niemca, nie — Rosjanina. Każdy poryw bohaterstwa uciemiężonych narodów, fakty polityczne, zjazdy, narady, czy ostatnio nawet zwycięstwa przykrawano nożycami cenzora. Na gotowy ma-



Ryc. 6. „Po Dieppe".

teriał wraz z dyrektywami rzucali się dziennikarze, reporterzy, pisarze, dramaturdzy, karykaturzyści — to był styl pracy Niemców. Styl który śledzimy teraz i wyławiamy dane charakterystyczne ze setek tysięcy zapisanych kart, z wdzięcznego pola do studium psychiki niemieckiej.

W dniu napadu niemieckiego na Rosję Hans Schwarz Van Berg napisał w Reichu artykuł wstępny pod wielomówiącym tytułem „Das Schweigen im Kriege" — by dopiero na następną niedzielę oddać pióro mistrzowi Goebelsowi. Milczeniem kryto swoje postępowanie w stosunku do nie-Niemców na zajętych obszarach. Poczucie humoru i komizmu, zamarłe w 33 roku, skrępowane w 39, nie odezwało się do dnia klęski. Lukę zapełniali urzędowi spece: profesor rysunku na niemieckim uniwersytecie w Pradze czeskiej — „E r i k" — w ujęciu zdradzającym talent li tylko karykaturzysty, Olaf G u l b r a n s s o n, Norweg, zasiedziały w Niemczech od 1902 roku i całkowicie im zaprzedany, różni: G. Bri, W i l l y K e y czy koledzy Erika P l a u e n, H i g s czy „H o e c k e r". Jedynie P l a u e n, specjalista od Amerykanów i Zachodu, za śmiałe prywatne kpienie z hitleryzmu (znaleziono u niego tekę prac dla wewnętrznego użytku przy rewizji) tuż przed zamachem na Hitlera w roku 1944 został zlikwidowany. Okres następny opracowywał dokooptowany Hekko, Hottö czy Hicks. Rysowali beztreściwie, nikle, dowcipy smętne czasami ordynarne. W rysunku postaci i rzeczy przerost — elephantiasis, daleko im do lekkości Erika czy Plauena.



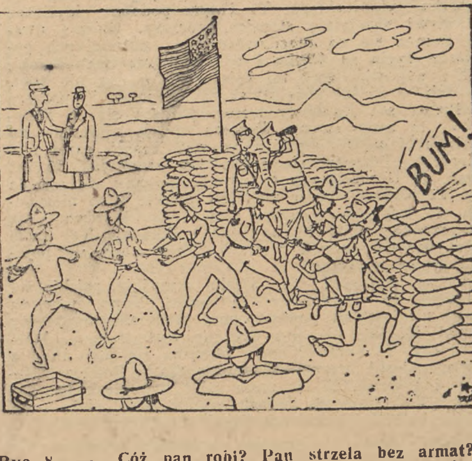
Ryc. 7. „W angielskim tygodniku filmowym: Zdjęcie lotnicze Niemiec po bombardowaniu przez samoloty RAF-u".

Rzeczywistość rysowana ołówkami speców, coraz dalej odbiegała od rzeczywistości komunikatów rosyjskich czy angloamerykańskich. Karykaturzyści ponosili klęskę po klęsce tak jak politycy i generałowie. Pióro maczano już w żółci a nie w tuszu.

Galeria postaci humoru niemieckiego nie obejmowała nigdy ani jednej z osób oskarżonych w potwornym procesie norymberskim. Pełno zaś było Roosevelta, Stalina, Churchilla przedstawicieli późniejszych sędziów.

W Kurierze Codziennym znalazłem świetną karykaturę Żebrowskiego (3). — Idealna zgoda między podpisem a rysunkiem. Dowcip nie budzi zastrzeżeń, lata okupacji przyniosły gorzką prawdę że są ludzie, którzy na nazwę ludzi nie zasługują. Porównajmy reportaże, powieści, sprawozdania z obozów śmierci. Problemu quislingizmu bynajmniej nie ujmujemy w stylu niemieckim (4). Ufni w siłę armii i zdolność dowództwa zadawalniali się Niemcy rysunkami jak na przykład (5), których oglądanie dziś sprawia szaloną radość aliantom. Szczytem megalomanii niemieckiej niech będzie następny wzór (6): Der kleine Finger hat genügt. W roku 41 można było drwić (7) z Raf-u, w 45 sił do drwiny nie stało. Niemcy czerpali chętnie przykłady od Włochów, co nie wykraczało poza ramy z góry nadanego kierunku. Arcyzabawny przykład naiwności (8) z Marc Aurelio. Nadzieje V 1 i V 2 — ilustrował angielski Bobby przeciwdziałający defetyzmowi. (9) Pomnik stawiany Badogliowi przez „Hamburger Illustrierte" można by postawić wielkim wodzom, marszałkom i generałom niemieckim. Pomysł wcale nie zły (10).

Ukoronowaniem humoru niemieckiego niech będzie następująca anegdota wyjęta



Ryc. 8. — „Cóż pan robi? Pan strzela bez armat? — Well! Armaty są w drodze do Rosji Sowieckiej".

z „K r a k a u e r Z e i t u n g" 43 r. „Co sądzą Amerykanie o inwazji? Wydaje się, że nie biorą jej na serio. W roku 1950 główno-dowodzący siłami niemieckiemi w Belgii obchodzi uroczystość dziesięciolecia okupacji kraju. Jako podarunek z tej okazji, pozwala włączyć Belgijczykom



Ryc. 9. „Rząd angielski w odpowiedzi na nową tajemniczą broń niemiecką zastosował natychmiast środki zaradcze".

na dwie godziny prąd elektryczny. Następnego dnia zapytuje się jakiegoś Belgijczyka, co zrobił z podarkiem? Belgijczyk odpowiada dumnie, że natychmiast włączył radio londyńskie. Ach tak — przytakuje z zainteresowaniem głównodowodzący — i co mówili w radiu? Że już jest bezpośrednio przed inwazją, odpowiada zapytany".



Ryc. 10.

Oto próba humoru, kilka klasycznych przykładów z dziedziny niemieckiej karykatury politycznej.

Ludwik Białota.

Glossy i notatki

WSPOMNIENIA I OSTRZEŻENIA

25 lat temu w przeddzień powstania śląskiego, trzeciego już w serii narodowych buntów Ślązaków przeciwko pruskiemu okupantowi, Śląsk został zalany papierową propagandą, drukowaną w Berlinie, we Wrocławiu, w Lipsku. Wynik plebiscytu nie rozstrzygał przynależności Śląska. Rozumieli to zarówno Niemcy jaak i Polacy. Polacy pod wodzą Korfantego przygojak i Polacy. Polacy pod wodzą Korfantego w głębi Niemiec formowali ochotnicze oddziały wojskowe, przeznaczone do walki z powstańcami, o których przygotowaniach wiedziano w Berlinie. Z tych niemieckich ochotniczych formacji wyszli potem pierwsi najgorliwsi hitlerowcy. Do nich też śpieszyli przede wszystkim członkowie co dopiero założonej przez Adolfa Hitlera NSDAP.

Leży przede mną maleńka broszurka z tamtych czasów „Oberschlesien am Scheidenwege“, Górny Śląsk na rozdrożu. Autorzy tej propagandowej broszurki, rozpowszechnionej na Śląsku w 800 tysiącach egzemplarzy, przyznają się do tego, że są Prusakami. Kolonizację Śląska przedstawiają w sielankowym opisie. Ot, przyszli z dziećmi i żonami i całym dobytkiem i wyzwolili, nauczyli pisać i czytać, uprawiać rolę i kochać rodzinę słowiańskich brunetów. Powstał naród mieszany ani Niemcy ani Polacy, — dobra mieszanka, przyznają autorzy. Ale w mieszance tej trudno odróżnić już, co jest polskie a co jest niemieckie, natomiast poziomem życia materialnego i dziejami swych zmagań o pracę i chleb przylgnęła ona do państwa niemieckiego. Te i tym podobne idylliczne powiastki zapełniają stronice broszury. Główną uwagę zwraca się na przeciwstawienie materialnych poziomów życia na Śląsku i w innych częściach Polski.

Nie wspominaliśmy tej książeczki, gdyby nie fakt, że dziś w 25 lat później, skoro nie udał się podstęp Volkslist ani językowy terror, porusza się w Niemczech te same struny. Porusza się je nieśmiało na razie, robi się to chyłkiem na marginesach gazet niemieckich. Twierdzi się zatem tak samo jak 25 lat temu, że Górnoślązacy to naród mieszany, że nie da się już odróżnić, co w nich jest polskie a co niemieckie, że wobec tego równe prawa do kierowania tą „mieszanką“ mają Niemcy jak i Polacy. Na razie mówi się o równych prawach, jutro mogą się pojawić prawa wyłączne.

Myśmy oddzielili na Śląsku wyraźnie polskie od niemieckiego. I czynimy to nadal. Nowa ofensywa prasy niemieckiej, powtarzającej przegrane argumenty sprzed 25. lat, nie jest dla nas zaskoczeniem. Wiedzieliśmy, że skoro Niemcy otrząsną się jako tako z ciężaru klęski, wspominać zaczną Śląsk, Pomorze, Mazury i Warmię. 25 lat temu mógł być Śląsk na rozdrożu. Już wówczas jednak wbrew woli wielu polityków zachodnich poszedł Ślązak za głosem polskości.

Wspominając dziś rocznicę powstania śląskiego nie możemy przejść spokojnie obok nowych prób wskrzeszenia dwoistości na Śląsku. Dziwimy się tylko, że cenzura wojskowa Anglii, Stanów Zjednoczonych, Francji i Rosji pozwala na tego rodzaju wyskoki przeciwko naszej suwerenności i historyczności nad Odrą. **(brz)** —

„ODRA“ NAD ODRĄ

Pismo nasze przeznaczone jest w głównej mierze dla tych szerokich rzesz Polaków, którzy osiedlili się na ziemiach zachodnich, ucząc się ich krajobrazu, przeszłości i rozbudzając w sobie przywiązanie i miłość do tych ziem. Tymczasem pismo nasze dzięki przysłowiowej już sprawności kolportażu „Czytelnika“ jest często na tych ziemiach mitycznym zawołaniem, nieuchwytnym realnie. Piszą nam z Kłodzka: Dlaczego nie można tu kupić „Odry“? Ale równocześnie nasz towarzysz redakcyjny podczas pobytu w Kłodzku odkrył pliki zamagazynowanej „Odry“ w pewnym kasynie. W żadnym kiosku nie można było dostać „Odry“ w Szczecinie w czasie ostatnich wielkich uroczystości, jakie się tam odbywały. W sklepie „Czytelnika“ jąkano się uprzejmie: ależ owszem, mamy gdzieś ale to gdzieś na dole.

„Odra“ ma swój oddział redakcji we Wrocławiu a w najbliższym czasie powstanie oddział redakcyjny w Szczecinie. Obok wysiłku redakcyjnego musi być także widoczny wysiłek kolportażu. Nie jest to wewnętrzna sprawa „Czytelnika“ i dlatego poruszamy ją na łamach pisma. Racjonalne rozprowadzenie pism po kraju to sprawa powszechnej oświaty, upowszechnienia kultury, to uczciwy nie maklerski stosunek do drukowanego słowa, do wysiłku umysłowego pisarzy i publicystów polskich i nie na koniec — uczciwy stosunek do wysiłku materialnego wydawnictwa. Czytelnika wychowuje się i przyzwyczaja do pewnych pism po prostu przez to, że się go z tymi pismami zapoznaje. Jak na razie wszechwładny kolportaż „Czytelnika“ idzie po linii najmniejszego oporu, tzn. ulega sugestiom finansowym.

Otrzymujemy setki listów narzekających na brak pisma w wielu ośrodkach polskich nad Odrą i w głębi kraju. Równocześnie otrzymujemy zwroty z Łodzi i Warszawy a więc z miast, które są tak au courant zagadnień naszych Ziem Odzyskanych, że „Odry“ czytać nie potrzebuje, niczego ich podobno już nie nauczy. Tyż piknie, jakby powtórzył Adam Ważyk za pewnym góralem. Stwierdzamy zatem, że kolportaż „Odry“ jak i wielu innych poważnych periodyków nie stanął na poziomie zadania a tym samym instytucji której służy a więc „Czytelnikowi“ zadał straty nie tylko materialne.

Wobec tego wypada nam zwrócić się do przyjaciół pisma z apelem, wypróbowanym w pracy konspiracyjnej, aby po przeczytaniu oddali łaskawie dalej. Uważamy bowiem, że sprawy, które poruszamy, są istotnie ważne i poznanie ich ukształtować ma światopogląd Polaków w odniesieniu do polskich Ziem Odzyskanych. **(brzym).**

KRÓTKIE SPIĘCIA

Świąteczne wydania periodyków przyniosły nam istną górę papieru. Ciężko jest przebrnąć przez to spiętrzenie stronic, przez las artykułów. Ale już wyłowiłem kilka, które zasługują na wzmiankę.

Przede wszystkim przyjął się słuszny zwyczaj równoległego czytania dwu tygodników reprezentujących oba rywalizujące ruchy — katolicyzm i marksizm. Z prawdziwym zainteresowaniem śledzimy tę narastającą polemikę między „Kuźnicą“ a „Tygodnikiem Powszechnym“ (tak, właśnie z „Tygodnikiem“ a nie z „Dziś i Jutro“). Nie są to starcia bezpośrednie, ale raczej takie, niby mimochodem sprostowania, szybkie podjęcie tematów poruszanych przez przeciwnika i naświetlenie ich od swej strony. Cała ta walka odbywa się, co trzeba przyznać, bardzo przyzwoicie i z korzyścią dla czytelnika, (dlatego przez małe c), zmuszonego do selekcji argumentów, do samodzielnego myślenia i ostatecznego wyboru. Ostatni numer „Kuźnicy“ oprócz króciutkiej, ale jakże świetnej kolumny satyry **Brzechwy**, jest niezwykle wyrównany i wart skonfrontowania z „Tygodnikem Powszechnym“.

W numerze świątecznym „Tygodnika Powszechnego“ są dwa specjalnie ciekawe artykuły. Parandowskiego i Turowicza, którego wnikliwe rozważania na temat — światopoglądu, tendencji i ortodoksji, muszą każdego z twórców i konsumentów literatury zastanowić. Turowicz staje po stronie pisarstwa świadomie uporządkowanego i docelowego, pisania, które określiłbym słowem — służba. Zwalcza anarchizm literacki, usprawiedliwiający każdą twórczość i egoizm, chciałby, żeby ta pewna tendencyjność dzieła literackiego wynikała z pogłębionego światopoglądu autora, z przeżywania i związania się z żywotną humanistyczną ideą. Katolicyzm, dowodzi na przykładzie pisarzy francuskich, nie jest gorsetem dla twórcy, który, jeśli w nim żyje prawdziwie, nie tylko nie poczuje skrępowania ale ułatwia mu hierarchizację zjawisk i samopoznanie.

Jan Parandowski w ekonomicznych kłopotach literatury omawia odwieczny problem niewspółmierności wynagrodzenia jakie uzyskuje autor za swoje dzieło. Z właściwą sobie erudycją gromadzi przykłady od starożytności po współczesność, dowodząc, że właściwie pisarzowi do szczęścia niewiele potrzeba — „podróżować kiedy przyjdzie ochota i z pewną wygodą, mieć dom urządzony według własnego upodobania, trochę książek i obrazów, przyjmować kolegów i przyjaciół przy stole nie wykwintnym, ale dobrze zaopatrzonym — to właśnie wszystko“!

Zdaje mi się, że właśnie każdy z nas marzy, o takim minimum.

W „Tygodniku Warszawskim“ przypomina Parandowski o tyglach literackich, o laboratoriach, w których powstaje dzieło, o tych cahiers intimes, w których skrzętnie zbiera się notatki, skrótem szyfruje przeżycia, barwę wieczoru i gest pożegnalny.

Wiersze w nr „Tygodnika Warszawskiego“, oprócz Bąka, są jeszcze słabsze niż szpalty „młodzieży awangardowej“, zamieszczonej ostatnio w „Odrodzeniu“. Ciekawa ankieta strat kulturalnych rejestruje zniszczenie rękopisów Z. Wasilewskiego.

„Dziś i Jutro“ przypomina artykułem **Claudela** głośną przed wojną książeczkę Hynka, poświęconą badaniom nad św. Całunem.

Z pośród zwiększonych objętościowo gazet świątecznych wyróżnia się „Dziennik Zachodni“, który zgrupował szereg ciekawych prac, pragnąc nam w skrócie zobrazować życie na emigracji. Podano nam fragmenty pamiętników, wspomnienia, wiersze zamykające naszą tułaczkę po całym świecie w latach wojny.

Nasza krytyczna notatka o jubileuszowym numerze „Szpilek“ musiała być niezwykle trafna, skoro wywołała tak histeryczną reakcję. O ile we wstępnym artykule Lec względnie dowcipnie odpowiedział, o tyle ten podlec jakiś k. r. użył sobie w „Gabinecie osobliwości“. Spod perfumowanej wazeliny i fryzjerskiej układności „Szpilek“, wyjrzało właśnie w odpowiedzi tego k. r.'a, pospolite, nieznoszące żadnych uwag, prostactwo.

Na tym poziomie nie będziemy polemizować.

Aga.

Co robią Niemcy

Zajmiemy się tym razem sprawami, które się dzieją **na peryferiach narodu niemieckiego.** Tymi peryferiami narodu niemieckiego, według berlińskiego „Das Volk“ jest Austria i Austriacy. O ile jawna prasa niemiecka mało poświęca miejsca sprawom austrackim, że wyglądać to może nawet na brak zainteresowania się pobratymcami w Austrii, o tyle Niemcy w rozmowach prywatnych i w prasie tajnej, która wychodzi w każdym już prawie mieście, żywo omawiają wydarzenia w Austrii. Z czasów hitlerowskich pozostało w Niemczech powiedzenie: Autsria to sprawa wonnego górskiego powietrza dla płuc Niemiec. Nie wiemy, co chcieli przez to hitlerowcy powiedzieć, dość na tym, że powiedzenie się utarło i jeśli dziś bywa w rozmowach z Niemcami powtarzane, to po to tylko, by uzasadnić konieczność niemieckich zainteresowań Austrią. —

Cóż się zatem dzieje w Austrii? Na co warto tam zwrócić uwagę? Niemcy uważają, że najciekawszą rzeczą jest prasa austriacka. Że jest ona więcej niemiecka od prasy pruskiej czyli berlińskiej i że cenzura tu łagodniejsza, o tym doniosły nam nawet w drobnych notatkach dzienniki polskie Ostatecznie „Austria i Austriacy zaliczają się do narodów, którzy wojny nie prowadzili, a zatem nie mogli jej też przegrać“. Na jednym z ostatnich posiedzeń parlamentu austriackiego socjalista Seitz powiedział, że Autsria wojnie nie jest winna, wojny nie prowadziła. Stąd — zażądał w ciągu swej dalszej przemowy poseł Seitz — Austria powinna nareszcie uzyskać prawo wydawania ustaw, które by także bez zezwolenia Rady Alianckiej miały swą wartość obiegową. Przekonanie o niewinności Austriaków w obecnej wojnie jest tak powszechne, że nie pada na nie nawet cień 40 Ritterkreuzów, darowanych żołnierzom i oficerom z rąk Hitlera Dzieje ostatniej wojny zapisały po stronie jednostek zbrodniczych także kilkanaście oddziałów złożonych z Austriaków a ludność okolic Smoleńska i Jarcewa dobrze pamięta Austriakami przeważnie zapełniony 7 pp., tchórzliwy w walce ale wyrafinowanie okrutny na biwaku w cichej rosyjskiej wsi. Prusacy nie szczędzili im wyzwisk w rodzaju „Ihr Schapphunde!“. Ale do robót pacyfikacyjnych używano ich chętnie. Ale dziś się o tym w Austrii nie pamięta, mężowie wracają z niewoli, wita się ich jako bezbronne ofiary terroru hitlerowskiego, rzadko tylko zerkając na piersi, na których często czernił się EK, odznaczenie dla gorliwych.

Zaczęliśmy mówić o prasie austriackiej. Trzeba tu zaraz powiedzieć o nadmiernie i nieuczciwie wykorzystywanej wolności przez i poprzez prasę austriacką. W Grazu przestała wychodzić „Neue Zeit“. Pismo zamknięto za napastliwy antyrosyjski artykuł wstępny pt. „Od Innitzera do Stalina“. Klagenfurcka „Neue Zeit“ skwapliwie wspomniany artykuł przedrukowała i tak samo została zawieszona. W propagandzie antysowieckiej celuje poza tym „Tiroler Volksblatt“ organ „austriackich demokratów“ wychodzący w Linzu pt. ‚Oberösterreichische Nachrichten“ zamieszcza z przyjemnością wiadomości o rzekomych prześadowaniach kościoła w Polsce, ponadto drukuje często urojone korespondencje ze Lwowa i Lublina, mówiąc o masowych deportacjach księży katolickich na Sybir. Inna gazeta wychodząca w Linzu pt. „Das Linzer Tagblatt“, zawieszona została niedawno za artykuł pt. „Gute Oesterreicher — gute Kulturdeutsche“. Artykuł powoływał się na wspólnotę plemienną i kuturalną Austriaków z Niemcami, a w konkluzji swej postawił zdanie: każdy dobry Austriak przez to, że tworzy austriacką kulturę w niemieckim języku i w niemieckim rodzaju (nach deutscher Art), staje się dobrym Niemcem, wiernym członkiem niemieckiej wspólnoty kuturalnej i narodowej. Ostatecznie naczelnego redaktora (jest nim dr. A. Oberhummer) zmieniono, otrzymał zresztą od razu doskonałą posadę w wielkiej firmie zajmującej się handlem win, a pismo pod nową redakcją i cośkolwiek ostrożniejsze już w wyrażaniu swych poglądów wychodzi sobie dalej.

Komisje dla oczyszczenia szerokich warstw społeczeństwa austriackiego od hitlerowskich plew, pracujące od kilku miesięcy w terenie, niełatwe mają zadanie. Działalność hitlerowców austriackich trwa nadal. Sprzyjają im Zarządy Miejskie, może się ich boją, kto ich tam zresztą wie. W ciągu marca w całej Austrii zanotowano 14 mordów popełnionych na członkach komisji. We wszystkich wypadkach podstawą mordu były motywy polityczne. Mordy te wywołały pewne zaniepokojenie w Austrii a członkowie komisji mniej gorliwie zabrali się do pracy w początku kwietnia. Wobec takiego terroru i wobec nieschwytania dotąd ani jednego sprawcy mordu akcja oczyszczenia społeczeństwa austriackiego z elementów hitlerowskich coraz wolniej będzie się posuwała naprzód.

O procesie norymberskim pisze się więcej tutaj niż w gazetach niemieckich. Pisze się jednak poto, by każde sprawozdanie z norymberskiej sali zakończyć wnioskiem: To nie my jesteśmy winni, ani nawet cały naród niemiecki, to ci siedzący na twardych ławach przed trybunałem zwycięzców. Chodzi o to, żeby wmówić światu, iż między ławą oskarżonych a szerokimi kręgami narodu niemieckiego z wszystkimi jego plemiennymi odłamami zawsze istniała ogromna przepaść. —

Były kanclerz austriacki Kurt von Schuschnigg przebywa obecnie z żoną i 5-cio letnią córeczką w Rzymie. Wywiad, jakiego udzielił korespondentom tygodnika paryskiego „Quatre et trois“ na temat Anschlussu, przedrukowała cała prasa austriacka. Wydawana przez francuską służbę informcyjną „Welt am Montag“ opatrzyła przedruk wywiadu komentarzem, broniącym Austriaków przed zarzutami tchórzostwa i łatwej rezygnacji z suwerenności państwowej. Ostatecznie — pisze pismo — nerwy nasze były na wyczerpaniu, tamto zaś było nieuniknione. Walka zbrojna była by nonsensem. Lepiej zresztą, że nie w wyniku naszej bezsensownej obrony ale na skutek szaleńczej wojny Hitlera leży dziś część Wiednia w gruzach. No tak, do bitki Austriacy z trudnością się nadawali, ale przyznanie się do tej narodowej słabości nie bardzo ratuje honor, o który tak zabiegają dla narodu austriackiego mówcy w parlamencie wiedeńskim.

Ten sam tygodnik podał ostatnio (nr 5) bardzo ciekawe uwagi na temat **emigracji austriackiej.** Dlaczego emigrantów austriackich, tęskniących za krajem i pragnących tu pracować, nie wezwano dotąd ani oficjalnie ani też nieoficjalnie do powrotu? — pyta wspomniany tygodnik. Z literatów i pracowników teatru przebywają za granicą dotąd słynny reżyser Leopold Lindtberg (w Zurychu), grupa aktorów wiedeńskich teatrów zatrzymała się na czas wojny w Londynie, tam także znajdują się pisarze Franz Fein, Jozef Kalamar, Elias Canetti, Theodor Kramer, Eva Priester, oraz młody poeta, który talent swój rozwinął dopiero na emigracji, Erich Fried. W Stanach Zjednoczonych żyją Bertold Viertel, Ernst Waldinger, Hermann Broch, we Włoszech Th. Czokor. Nie wszyscy pewnie zechcą wrócić, dla wielu nowa ziemia stała się lepszą choć drugą ojczyzną.

Tymczasem w kraju odbywają się **publiczne pokajanki** skompromitowanych politycznie pracowników kultury i sztuki. Ostatnio pokajali się publicznie filharmonicy wiedeńscy. Poszli w delegacji (w składzie prof. Sedlak i Freitag oraz muzyk Maurer z Rady Zakładowej Filharmonii) do prezydenta republiki prosić o przebaczenie i przyjęcie zapewnienia wierności. Filharmonicy — oświadczyła delegacja — publicznie żałują, że w ciągu 7. lat hitlerowskich dali się używać jako zjawisko towarzyszące wszystkim nazistowskim antyaustriackim i antyludzkim uroczystościom. Filharmonicy przyrzekają, że staną się dobrymi Austriakami. —

Mężczyźni się kajają a **kobiety pragną ratować Austrię** politycznie. Mówi o tym m. in. artykuł Hildy Strauss - Gutmann w „Salzburger Nachrichten“ (nr 65) „Mężczyzna ma setki lat politycznej szkoły i działalności poza sobą — pisze autorka — wynikła z tego zniszczona Europa, popioły i zgliszcza, głód i zarazy. Nadszedł czas, by kobiety poczęły kierować życiem narodów“. I dalej w ciągu swego artykułu uzasadnia autorka konieczność uaktywnienia kobiety austriackiej jako „politycznego elementu utrzymującego państwo“.

Wieści z Austrii skwapliwie słuchane są w Niemczech a choć prasa ich nie drukuje, każdy Niemiec przymruża oczy i szepce: jest wśród Austriaków wielu łajdaków ale większość to nasze zuchy. Obserwujący bieg życia austriackiego z trudnością tylko tym szeptom zaprzeczy. Ziarno zasiane przez hitleryzm na ziemi austriackiej co roku wypuszczać będzie pędy. Owoce będą dla całej Europy gorzkie i przykre.

Popatrzmy się od czasu do czasu na Austrię. Na prawdę warto. I w Austrii można się dowiedzieć, co robią Niemcy. **(wisz)**

Patrzymy na ekran

Jak już wspomnieliśmy w poprzedniej recenzji w „Odrze“, filmowy sezon świąteczny nie przewiduje dla Katowic specjalnych rewelacyj. Ze zdziwieniem dodać musimy, że jedyny z ciekawszych a zapowiadanych filmów, tj. „Miłość w kajdanach“ z Charles Boyerem — nie ukaże się w najbliższym czasie. Zamiast niego przewidziano danie dla mniej wybrednego podniebienia („W szponach Monte Carlo“). — Może jednak po tych atrakcjach, oczekiwany Boyer dojdzie do Katowic, choćby nawet piechotą. — W każdym razie — czekamy.

Z aktualnie idących filmów chcieliśmy wspomnieć o „Szalonym lotniku“, filmie produkcji sowieckiej, którego bohaterem jest znany lotnik radziecki I. W. Czkałow (kino „Casino“). — Niestety, po za doskonałym odtwórcą roli tytułowej, możemy wspomnieć tylko o aktorach anonimowych, to jest o tych bezimiennych lotnikach, którzy wykonują rzeczywiście przepiękne, lotnicze akrobacje bez pretensyj do umieszczania ich nazwisk na afiszu.

Z zagranicznej (dlaczego nie z polskiej) prasy dowiadujemy się, że w Warszawie ma powstać specjalne „miasto filmowe“, w ramach którego ma pracować aż 6 nowych wytwórni filmowych. Jest to komunikat, który z obowiązku dziennikarskiego podajemy bez komentarzy. Ze swej strony dodać tylko musimy jedno słowo, użyte przez nas zresztą parę zdań powyżej, a mianowicie: „czekamy!“

W Czechosłowacji przystąpiono do weryfikacji artystów filmowych oraz pracowników filmu. Kilkudziesięciu z nich stanie przed sądem ludowym, oskarżonych o kolaborację. Między nimi znana czeska artystka filmowa — Lida Baarowa. — U nas zbyt wielu aktorów filmowych nie było nigdy. Problem zbyt gorliwej współpracy z okupantem załatwiły w swoim czasie pistolety podziemnych sędziów (Igo Sym.). — Inni artyści, z małymi wyjątkami, zdali egzamin już podczas okupacji, dlatego u nas weryfikacja artystów filmowych nie jest kwestią zasadniczą. Natomiast bardziej piekącą dla nas jest sprawa **artystycznej** weryfikacji naszej przedwojennej produkcji filmowej. — Jak dotychczas — głucho o niej w świecie Filmu. A to, co zobaczyliśmy z produkcji powojennej...

Zresztą, dajmy spokój... **Aleksander Baumgardten.**

Apel

Powołując się na moje artykuły pt. „Akademicy śląscy we Wrocławiu“, ogłoszone w tygdoniku „Odra“ w nr. 1 i 2 roku 1946, zwracam się jeszcze raz do wszystkich byłych członków polskich towarzystw akademickich we Wrocławiu dawnych lat o łaskawe przesłanie pod moim adresem (Katowice, ul. Francuska 12, Śląska Biblioteka Publiczna) wszystkich możliwych materiałów, odnoszących się do owych czasów. W szczególności zwracam się do tych „starszych panów“, do których zwróciłem się na piśmie wzgl. ustnie, o łaskawy pośpiech w zebraniu swych materiałów oryginalnych, które ocalały wśród pożogi wojennej, wzgl. też o pomoc przez rekonstrukcję pamięciową szeregu momentów z dawnej działalności akademickiej. Jak wiadomo, chodzi mi tu mniej o czasy towarzystw legalnych (gdyż ich materiały ocalały), ile raczej o czasy działalności nielegalnej, konspiracyjnej. Ponieważ monografia o ruchu polsko-śląskiej młodzieży akademickiej ma się jeszcze w tym roku ukazać (wydawn. Instytutu Śląskiego w Katowicach), proszę gorąco o łaskawe nadesłanie wszelkich materiałów do końca maja br. **Mgr. Franciszek Szymiczek**

»Odra« zaczęła wychodzić jako tygodnik.

Prenumerata pisma wynosi miesięcznie 28 zł, kwartalnie 80 zł. Prosimy o wpłacanie prenumeraty na konto P. K. O. III 4960.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p..), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“, Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik“ — R 1726